James H. Schmitz

Droga w Inne Miejsce

(The Beacon to Elsewhere)

Amazing Stories, April 1963
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

To była rzadka sytuacja, mająca miejsce nawet nie dwa razy w roku, by Gustavus Robert Fry, główny komisarz Interstellar Police Authority, przeznaczył więcej niż godzinę swego dnia pracy, na jedno spotkanie. Jednak nikogo w sekretariatach nie zdziwiła wiadomość, że szef spodziewał się pozostać na dzisiejszej konferencji aż do południa i nie wolno mu było do tego czasu przeszkadzać. Gościem, którego wprowadzono do niego – bez uprzedniego umówienia się na spotkanie – był Howard Camhorn, koordynator ds. badań naukowych z ramienia Najwyższego Rządu. Było to spotkanie dwu politycznych mastodontów. W porządku dziennym narady miały się znaleźć naprawdę doniosłe wydarzenia.

Siedzący za biurkiem w swoim prywatnym gabinecie Gus Fry, masywny mężczyzna, o silnej szczęce i zimnym spojrzeniu – wyglądający dokładnie tak, jak wskazywałaby na to jego potęga, polityczna i nie tylko – nie czuł się zupełnie swobodnie. Howard Camhorn, który rozsiadł się wygodnie na krześle naprzeciwko nadkomisarza, mógłby uchodzić za odnoszącego umiarkowane sukcesy artystę, w średnim wieku. Był szczupły, jasnowłosy, cechował go leniwy uśmiech i jeszcze bardziej leniwe gesty. Ale z tej dwójki, to on był VIP-em ważniejszym o kilka stopni.

Camhorn powiedział:

— Oczywiście nie ma żadnych wątpliwości, że transportowiec kosmiczny, który przechwycili pańscy chłopcy, jest tym, który nas interesuje. Ale czy jest absolutnie pewne, że naszego YM-400 nie ma już na pokładzie?

Fry wzruszył ramionami.

— Pewne jest, że nie ma go w przedziale, w którym zostało umieszczone na czas podróży, a zamki drzwi do tego przedziału zostały sforsowane. Możliwe, że osoba, która zabrała dwie skrzynie z YM, ukryła je w innej części statku. Byłoby to łatwe do zrobienia, ale…

Camhorn pokręcił głową.

— Nie — stwierdził. — Nikt by na tym nie skorzystał. Obawiam się, że będziemy musieli pogodzić się z faktem, że ta substancja została skradziona.

Fry zgodził się z nim:

— Na to wygląda. Prowadzone przez policję poszukiwania będą trwały do czasu, aż dotrą tam wasi śledczy, ale nie ma powodów, aby sądzić, że cokolwiek uda się znaleźć.

— Kurs statku został przestawiony tak, że kierował się on w niezajętą przestrzeń kosmiczną?

— Tak — odparł Fry. — Tylko dzięki bardzo nieprawdopodobnemu zbiegowi okoliczności łódź IPA go zauważyła. Nowy kurs transportowca nie prowadził w pobliże żadnego szlaku komunikacyjnego, zamieszkanej planety czy normalnej trasy patrolowej. Za trzy tygodnie, po wyczerpaniu

zapasów paliwa, podłożone materiały wybuchowe wysadziłyby go w powietrze, bez szans że wrak zostałby kiedykolwiek wykryty.

— A co z ładunkiem? Wiesz może coś o nim? Czy inne przewożone towary były nienaruszone?

— Na tyle, na ile jesteśmy w stanie to stwierdzić. Przewoźnicy sprawdzą wszystko szczegółowo, gdy frachtowiec wróci do portu. Można jednak przypuszczać, że jedynym brakującym składnikiem ładunku jest należące do Najwyższego Rządu YM-400.

Camhorn skinął głową.

— Grupa, która zaplanowała jego przechwycenie, nie byłaby zbytnio zainteresowana zwykłym łupem. To wydaje się rozstrzygające. — Zmarszczył refleksyjnie nos. — Modus operandi? — spytał.

— Dwie możliwości — stwierdził Fry. — Albo sami załadowali się na pokład, razem z ładunkiem, albo przechwycili transportowiec w drodze i weszli na niego w trakcie lotu.

— Które z rozwiązań ty byś preferował?

— Pierwsze. W rzeczywistości to drugie jest mało prawdopodobne. Nawet IPA nie byłaby w stanie dostać się na pokład nowoczesnego, automatycznego frachtowca, w trakcie lotu między portami, nie wywołując eksplozji alarmów we wszystkich stacjach kontroli lotów na jego trasie. Żaden tego rodzaju alarm nie został zarejestrowany. Nie ma też śladów siłowego wdarcia się na statek.

— A więc nasi złodzieje sami się załadowali — stwierdził Camhorn. — Gus, zawsze uważałem, że system kontroli, dzięki któremu pasażerowie na gapę nie dostają się na pokład automatycznych transportowców, jest niezawodny.

Szef IPA wzruszył ramionami.

— Jak dotąd był niezawodny. Ale nie dlatego, że nie dałoby się go obejść. Po prostu obejście systemu kontroli załadunku byłoby tak kosztowne, że całkowita wartość pieniężna transportowca i jego ładunku nie byłaby warta zachodu. Ci ludzie na pewno nie przejmowali się wydatkami.

— Najwyraźniej nie — zgodził się z nim Camhorn. — Jak więc zabrali YM-400 ze statku?

— Zabrali ze sobą na pokład małą łódź. To na razie jedynie przypuszczenie; pozostawili bardzo niewiele śladów swego działania. Ale to jedyny sposób, w jaki mogli tego dokonać. Uzyskali dokładne informacje o wytyczonej trasie transportowca i jej harmonogramie czasowym. W wyznaczonym punkcie zabrali dwie skrzynie z YM, zmienili trasę statku, podłożyli ładunki wybuchowe i ustawili czas eksplozji, odłączyli system alarmowy przy śluzie wejściowej i odlecieli swoją łodzią. Oczywiście w tym czasie inny statek poruszał się już równolegle do frachtowca i czekał, żeby ich odebrać. To wszystko, co trzeba było zrobić.

— Brzmi to bardzo prosto — stwierdził Camhorn.

— Cała trudność — odparł Gus Fry — polegałaby na przygotowaniu takiej operacji. Bez względu na to, ile pieniędzy ci ludzie byli w stanie wyłożyć, musieli spędzić kilka miesięcy na przygotowaniach, nie alarmując ani razu władz portowych.

— Mieli wystarczająco dużo czasu — przyznał refleksyjnie Camhorn. — YM-400 było transportowane przez kilka lat w ten sam sposób i tą samą trasą.

— Zastanawiałem się — zauważył Fry, — dlaczego wybrano taki właśnie sposób transportu.

Camhorn uśmiechnął się krótko.

— Kiedy ostatnio porwano automatyczny transportowiec, Gus?

— Pięćdziesiąt siedem lat temu — odparł Fry. — Metoda zastosowana wtedy nie zadziałałaby na nowoczesnym transportowcu, ani przy zastosowaniu obecnego systemu kontroli.

— No cóż, to jest część twojej odpowiedzi. Ryzyko związane z automatyczną przesyłką stało się znikome. Pozostała część odpowiedzi jest taka, że zrezygnowaliśmy ze zbyt skomplikowanych zabezpieczeń dla przewozu YM-400. Gdybyśmy przewozili je pancernikiem za każdym razem, gdy było transportowane, dowiedziałoby się o tym braterstwo od szpiegostwa technologicznego. A to oznacza, że dowiedzieliby się również i wszyscy inni, którzy mogliby być zainteresowani. A gdyby wieść o tym się rozniosła, zaczęlibyśmy je tracić niezależnie od zastosowanych środków zabezpieczeń, na rzecz ludzi, którzy sami chcieliby je wykorzystać, do tego, co czyni je tak cennym dla rządu. W tej chwili jest to pierwsza partia YM-400, która zaginęła w ciągu 32 lat, od kiedy je mamy.

— Dwie trzydziestoczterokilogramowe skrzynie — spytał Fry. — Czy to znacząca ilość?

— Obawiam się, że to bardzo duża ilość — odparł Camhorn z przekąsem.

Fry zawahał się, po czym powiedział:

— Jest w tym coś bardzo dziwnego, Howard…

— Co takiego?

— Kilka godzin temu odniosłem nieodparte wrażenie, że niemal z ulgą przyjąłeś wiadomość o transportowcu.

Camhorn przyglądał mu się przez kilka sekund.

— W gruncie rzeczy — wyjaśnił w końcu — tak właśnie było. Z powodu jednej rzeczy. Gdyby to nie był ewidentny czyn przestępczy, po ludzku rzecz biorąc – gdyby transportowiec, powiedzmy, po prostu wybuchł w drodze albo zniknął nie wszczynając alarmu…

— Zniknął nie wszczynając alarmu? — powtórzył powoli Fry. — Bez interwencji człowieka?

— Gdyby — powiedział Camhorn, — choćby najmniejsza część przewożonego YM-400 była radioaktywna, wcale bym się nie zdziwił, gdybyśmy się nawet nie dowiedzieli, że coś takiego się stało. Ale, oczywiście, ładunek był stabilny. A stabilny YM-400 nie wykazywał do tej pory żadnych bardziej niepokojących właściwości niż równoważna ilość surowego żelaza. Gdyby kiedykolwiek je rozwinął, programy badawcze związane z tą substancją musiałyby zostać opóźnione na czas nieokreślony. Być może trzeba by było zupełnie z nich zrezygnować. — Uśmiechnął się leniwie do Fry'a. — Czy to wyjaśnia moją widoczną ulgę, Gus?

— Mniej więcej — odparł Gus Fry. — Czy byłaby to duża katastrofa, gdyby trzeba było zrezygnować z tych konkretnych programów?

— O, tak, Najwyższy Rząd uznałby to za klęskę.

— Dlaczego?

— Jeśli i kiedy — oznajmił Camhorn — zostaną rozwiązane problemy wiążące się z YM-400, ta substancja może nam zapewnić w przyszłości kontrolę nad przestrzenią kosmiczną przeciwko jakąkolwiek możliwej do przewidzenia opozycji.

Fry zachował starannie pozbawioną wyrazu twarz.

— A więc, naturalnie — kontynuował Camhorn — wolelibyśmy, aby grupy dysydentów nie zabawiały się tą substancją ani nie dowiedziały się o jej możliwościach.

Fry zauważył:

— Wydaje się, że istnieje co najmniej jedna grupa dysydentów, która posiada o wiele więcej informacji na temat YM-400 niż na przykład Interstellar Police Authority.

Camhorn pokręcił przecząco głową.

— Nie możemy powiedzieć, ile oni tak naprawdę wiedzieli, Gus. Kradzież mogła zostać zorganizowana jako operacja spekulacyjna. Dokoła krąży wystarczająco dużo swobodnych pieniędzy, w dużych ilościach, aby było to zupełnie możliwe.

Fry chrząknął.

— Czy masz jakichś konkretnych podejrzanych?

— Bardzo wielu. Niestety, wydaje się, że istnieje przynajmniej pewne prawdopodobieństwo, że osoby zamieszane w tę sprawę, jednak nie znajdują się na tej liście. Tym niemniej będzie ona stanowiła punkt wyjścia. Zostanie jeszcze dziś przekazana do IPA.

— Dzięki — odparł kwaśno Fry.

— Nie zrobiłbym tego, gdybym nie musiał, Gus. Nasi śledczy z resortu Badań, nie poradziliby sobie z taką liczbą podejrzanych. Oczywiście będą z tobą ściśle współpracować.

— Nikt inny nie chce tego robić — stwierdził Fry. — Dochodzę do wniosku, że nasza obecna ludność, to najmniej skłonna do współpracy grupa ludzi w historii naszej rasy.

Camhorn przytaknął.

— No pewnie.

— No pewnie? Dlaczego niby mieliby tacy być? Większości z nich brakuje może trochę przestrzeni życiowej – chyba że zechcą się pogodzić z warunkami życia na pograniczu – ale poza tym ludzkość nigdy jeszcze nie miała się aż tak dobrze. Nie są represjonowani, lecz niańczeni – a przynajmniej przez dziewięć dziesiątych czasu. Robią, co im się żywnie podoba. Trzydzieści procent z nich od początku swego życia do jego końca, nigdy nawet nie podejmie żadnej uczciwej pracy.

— To prawda. Ale opisałeś niemal idealne warunki dla wytworzenia się głębokiego niezadowolenia. Przy okazji, jest ono starannie podtrzymywane. Nie chcemy, aby ludzkość jeszcze całkowicie zasnęła. Gus, co wiesz osobiście o YM-400?.

— Nic — odpowiedział Fry. — Od czasu do czasu IPA otrzymuje o nim jakieś pogłoski. Tego rodzaju plotki trafiają do naszych akt. Te akta przechodzą przed moimi oczyma.

— No dobrze, powiedz mi w takim razie — dopytywał się Camhorn — o jakich plotkach czytałeś?

— Mogę ci je zrelacjonować — powiedział Fry — dosłownie w kilku zdaniach. YM – lub YM-400 – to pierwiastek odkryty przez naukowców Najwyższego Rządu. Dosyć niedawno, bo w okresie ostatnich kilkudziesięciu lat. Ma on właściwość „przenoszenia naprężeń czasoprzestrzennych" – tak głosi plotka, dosłownie. W związku z tym, ma on jakiś nieokreślony związek ze zjawiskami w przestrzeni Riemanna. Zlokalizowano go w układzie gwiezdnym leżącym poza obszarami oficjalnie wykazywanymi jako zbadane i który jest obecnie pilnie strzeżony przez statki Najwyższego Rządu. W układzie tym znajduje się pas asteroid, stanowiących pozostałość po planecie rozbitej we wcześniejszym okresie w wyniku działań YM. I wreszcie — dodał Fry, szczerząc się wilczym uśmiechem — mogę nawet wnieść pewien szczegół o charakterze faktograficznym. Wiem, że istnieje taki strzeżony system i że nie zawiera on niczego poza gwiazdą i wspomnianym pasem asteroid. Mógłbym podać ci jego położenie, ale jestem pewien, że je już znasz.

Camhorn skinął głową.

— Tak. Jakieś inne plotki?

— Myślę, że to mniej więcej ich podsumowanie.

— No cóż — stwierdził rzeczowym tonem Camhorn, — jeśli IPA ma być pomocna dla nas w tym śledztwie, powinna być nieco lepiej poinformowana. Plotki są interesujące, choć w zadowalającym stopniu nieścisłe. Po pierwsze, YM-400 nie jest pojedynczym pierwiastkiem. Jest to związek kilku pierwiastków z tej samej serii. Przypisany mu symbol chemiczny jest zupełnie bez znaczenia…

— Ze względów bezpieczeństwa?

— Oczywiście. Wszystkie pierwiastki z tej serii, poza jednym znaczącym wyjątkiem, zostały odkryte podczas badań prowadzonych przez Najwyższy Rząd nad właściwościami przestrzeni Riemanna, w dwóch wewnątrzgalaktycznych obszarach kreacji, które do tej pory nanieśliśmy na nasze mapy. Jak zapewne pamiętasz, program ten został zainicjowany czterdzieści pięć lat temu. Pierwiastki, o których mówimy, są radioaktywne: ich okres połowicznego rozpadu wynosi do godziny. Podejrzewano, że mają one związek z pewnymi bardzo osobliwymi, pozornie przypadkowymi zakłóceniami czasoprzestrzeni występującymi w obszarach kreacji, ale ich fundamentalne właściwości uniemożliwiały wyprodukowanie ich w dostatecznej ilości, na wystarczająco długi czas, aby przeprowadzić sensowne badania.

— Ymir, ostatni pierwiastek tej serii, nie został odkryty ani w tych obszarach, ani w tym samym czasie. Znaleziono go dziesięć lat później, w stabilnych, śladowych ilościach, w pasie asteroid, o którym wspomniałeś, i do tej pory nie stwierdzono jego występowania, nigdzie indziej. Ymir jest wybrykiem natury. Pod względem chemicznym jest bardzo podobny do reszty serii i ma niestabilną strukturę. Teoretycznie jego obecność w

miejscu i czasie, w którym został znaleziony, była niemożliwa. W końcu jednak ustalono, że Ymir wytwarza pole siłowe, które pochłania radioaktywność. Dopóki pole to nie zostanie zakłócone, pierwiastek jest stabilny…

— A co zakłóca jego działanie?

Camhorn uśmiechnął się.

— Ludzie. Dopóki pole nie zostanie celowo naruszone, Ymir jest niezmienny – o ile nam wiadomo. Co więcej, w związkach z innymi pierwiastkami tej samej serii natychmiast rozszerza swoje działanie pochłaniające, na trzy inne pierwiastki. To bardzo szczęśliwy przypadek, ponieważ Ymir został znaleziony tylko w minimalnych ilościach, a nieznane czynniki wciąż uniemożliwiają jego sztuczne wytwarzanie. Pozostałe trzy pierwiastki produkowane są z łatwością, a ponieważ bardzo niewielka część Ymiru zachowuje je w formie stabilnej lub pseudostabilnej, można je przechowywać w nieskończoność.

— I to właśnie jest ten związek YM-400? — zapytał Fry.

— Tak jest.

Fry powiedział, zamyślony:

— Być może powinienem ci przypomnieć, Howardzie, że ta rozmowa jest nagrywana.

Camhorn skinął głową.

— Nie ma sprawy. Teraz, gdy wiemy, że ktoś inny jest w posiadaniu sześćdziesięciu ośmiu kilogramów YM-400, stajemy w obliczu radykalnie zmienionych okoliczności. Strata poniesiona w wyniku kradzieży sama w sobie nie jest istotna. Komponent Ymiru w takich ilościach wykrywalny jest niemal wyłącznie dzięki efektom swojego działania, a pozostałe składniki można produkować do woli.

— Pytanie brzmi: ile tak naprawdę wiedzą o nim ludzie, którzy mają w rękach skradziony związek. Wolelibyśmy, żeby wiedzieli parę rzeczy. Na przykład, do pewnego momentu YM-400 jest łatwy w utrzymaniu. Zmniejszenie lub przywrócenie efektu pola siłowego to stosunkowo prosta operacja. Efektem jest kontrolowany wypływ radioaktywności ze związku lub jego ustanie. Wspomniałeś, że słyszałeś, iż YM-400 transmutuje naprężenia czasoprzestrzenne…

Fry przytaknął.

— No cóż — oznajmił Camhorn — w gruncie rzeczy dokładnie to wydaje się on robić – tak jak początkowo przypuszczano w przypadku niestabilnych pierwiastków z tej serii. Aktywny związek transmutuje naprężenia czasoprzestrzenne na nową formę energii o teoretycznie przewidywalnych właściwościach. Teoretycznie, na przykład, ta nowa energia powinna być w pełni możliwa do kontroli. Czy dotarły do ciebie jakieś pogłoski o tym, jaki miałby być cel naszych eksperymentów z tą substancją?

Fry odpowiedział:

— A tak, zapomniałem o tym. Słyszałem o dwu alternatywnych teoriach, co do tej sprawy. Jedna z nich mówi, że celem końcowym jest otrzymanie materiału wybuchowego o niewyobrażalnej wręcz

gwałtowności eksplozji. Druga, że pracujecie nad zbudowaniem nadajnika materii – być może o zasięgu międzygwiezdnym.

Camhorn skinął głową.

— Potencjalnie — przyznał — YM-400 jest niezwykle gwałtownym materiałem wybuchowym. Nie ma co do tego wątpliwości. To drugie przypuszczenie – także wcale nie idzie zbyt daleko – no cóż, to byłby odpowiednik natychmiastowej podróży kosmicznej, nieprawdaż?

Fry wzruszył ramionami.

— Podejrzewam, że tak.

— Jednak — mówił dalej Camhorn, — jak dotąd nie przesłaliśmy nawet jednej drobinki materii. W każdym razie, nie celowo. Czy wiesz dlaczego, Gus?

— Nie. A skąd miałbym wiedzieć?

— Nie słyszałeś żadnych plotek na ten temat, co? Powiem ci. YM-400, po aktywacji nawet w mikroskali, natychmiast wywołuje najbardziej szalone, nieobliczalne efekty, jakie kiedykolwiek widzieli eksperymentujący. Zdecydowanie, nie ma dla nich żadnego wyjaśnienia. Fizycy, ma których zwykle nic nie robi wrażenia, mówili mi ze łzami w oczach, że czasoprzestrzeń jest złośliwie świadoma naszej obecności i naszych prób manipulowania nią – że rozkoszuje się udaremnianiem tych prób.

Gus Fry uśmiechnął się kwaśno.

— Być może mają rację.

— Tak się składa — zauważył Camhorn — że sytuacja jest bardzo niewesoła, Gus. Eksperymenty z YM-400 nie przyniosły jak dotąd żadnych użytecznych rezultatów – i spowodowały ponad tysiąc sto ofiar. Większość z nich, to dobrze wykształceni mężczyźni i kobiety, których niełatwo zastąpić.

Fry popatrzył na niego z niedowierzaniem.

— Chcesz powiedzieć, że te wypadki nie zostały wyjaśnione?

Camhorn pokręcił przecząco głową.

— Gdyby były one wytłumaczalne, nawet po fakcie — powiedział — to przede wszystkim niewiele z nich by się w ogóle wydarzyło. Zapewniam Cię, Gus, że w sposobie prowadzenia projektu nie było żadnych zaniedbań. Ale w obecnej postaci jest to klapa. Gdyby stawka była mniejsza, projekt zostałby spuszczony w kanał, już dziesięć lat temu. I, tak jak już ci wcześniej mówiłem, gdyby istniały najmniejsze nawet powody, by sądzić, że stabilny związek był zamieszany w zniknięcie transportowca kosmicznego, prawdopodobnie odłożylibyśmy dalsze prace na czas nieokreślony. Jedno takie zdarzenie podniosłoby ryzyko do poziomu niemożliwego do zaakceptowania.

Fry chrząknął.

— Czy tak właśnie wyglądały te wypadki? Rzeczy – ludzie – znikają?

— No cóż... niektóre z nich generalnie miały taki właśnie charakter.

Fry odchrząknął.

— Powiedz mi jeszcze jedną rzecz, Howard.

— Co takiego?

— Czy jakakolwiek część tego, co mi do tej pory powiedziałeś, była prawdą?

Camhorn zawahał się przez chwilę.

— Gus — powiedział potem, — czy możesz wymazać z nagrania swoje pytanie i moją odpowiedź?

— Oczywiście.

— Skasuj je, proszę. Potem wyczyść naszą dalszą rozmowę.

Kilka sekund później Fry powiedział:

— W porządku. Nie jesteśmy już nagrywani.

— Większość tego, co ci powiedziałem, było prawdą — oznajmił Camhorn, odchylając się na krześle. — Być może nie wszystko. I może nie powiedziałem ci całej prawdy. Ale chcemy rozpuścić kilka wiarygodnych plotek, Gus. A nie moglibyśmy sobie pozwolić na to, by dać się złapać na oczywistych kłamstwach.

Fry powoli poczerwieniał.

— Uważasz, że Interstellar Police Authority rozpowszechni te pogłoski?

— Oczywiście, że tak. Bądź realistą, Gus. Naturalnie, będziesz przekazywał informacje, których ci udzieliłem, tylko kwalifikowanemu personelowi. Ale będą przecieki, a… no cóż, jakież lepsze uwierzytelnienie moglibyśmy uzyskać dla pogłoski, niż takie właśnie źródło?

— Jeśli wiesz coś o jakichś potencjalnych przeciekach wśród „kwalifikowanego personelu” IPA — stwierdził Fry, — byłbym bardzo wdzięczny za podanie nazwisk.

— Przestań się tak jeżyć, Gus — odparł Camhorn. — Nie mamy zamiaru pomawiać Authority. Opieramy się na prawie średnich. Jak sam zauważyłeś, nie można oczekiwać, że IPA przeprowadzi to śledztwo, jeśli nie otrzyma pewnych wskazówek, na których będzie mogła się oprzeć. My dajemy wam takie wskazówki. Spodziewamy się, że w trakcie tego procesu rozejdą się pewne plotki. To wszystko w dobrym celu.

— Ale jaki jest ten cel?

— Już ci to mówiłem. Nasi przestępcy mogą, ale wcale nie muszą zostać złapani tak szybko, jak byśmy chcieli. Grupa, która jest w posiadaniu prawdziwej wiedzy o tych wypadkach, może być – i prawdopodobnie jest – dosyć mała. Powinna jednak posiadać rozległą organizację i już teraz będzie gotowa do przeciwdziałania. Z pewnością zdobędą informacje, które chcemy aby posiadali, niezależnie od tego czy dotrą one do nich przez IPA, czy też jakimś innym kanałem; w każdym razie to powinno wystarczyć, aby powstrzymać ich od popełnienia oczywistych głupstw. A tymczasem, my unikniemy konieczności upubliczniania tych informacji.

— Chcemy się upewnić, że oni będą zdawać sobie sprawę – nawet jeśli jeszcze tego nie wiedzą – z tego, że YM-400 jest nieprzewidywalnie niebezpieczny. To pozostawia im kilka możliwości działania. Mogą porzucić te dwie trzydziestoczterokilogramowe skrzynie lub po prostu ukryć je do czasu uzyskania pełniejszych informacji na temat tego materiału. Biorąc

pod uwagę sposób, w jaki kradzież została przygotowana i przeprowadzona, ani jedno, ani drugie nie wydaje się zbytnio prawdopodobne. Ci ludzie nie są ignorantami, nie dadzą się łatwo zastraszyć – i z pewnością mają środki, aby poradzić sobie z każdym poziomem wydatków.

Fry skinął głową.

— Najprawdopodobniej — kontynuował Camhorn, — ocenią oni ostrzeżenia zawarte w tych pogłoskach jako realistyczne, ale przystąpią do eksperymentów – być może z nieco większą ostrożnością, niż zrobiliby to w innym wypadku.

— Tyle właśnie, mamy nadzieję osiągnąć. Mówiłem już o stratach wśród naszego personelu. Nie mamy nic przeciwko temu, aby ktoś inny spróbował wyciągnąć dla nas parę kasztanów z ognia. To drugi cel, wiążący się z poświęceniem tych paru dosyć istotnych informacji. W każdym razie, spodziewamy się, że zanim dopadniemy naszych przyjaciół, poświęcenie to przyniesie nam taką czy inną korzyść.

— A przypuśćmy — spytał Fry — że ich potajemne eksperymenty z YM-400 doprowadzą do przekształcenia jakiejś innej planety w chmurę asteroid?

— To nieco skrajna możliwość — przyznał Camhorn, — ale istnieje. Jednak, istnieje ona już teraz, niezależnie od tego, co zdecydujemy się z tym zrobić. Możemy jedynie próbować zminimalizować ryzyko.

— Mimo to lepiej byłoby złapać ich, zanim zaczną bawić się tym materiałem?

— Oczywiście, że tak. Ale czas działa przeciwko nam.

— Ile go mamy, zanim sytuacja stanie się krytyczna?

— No cóż — stwierdził Camhorn — załóżmy, że mieli co najmniej cztery lub pięć lat na przygotowanie się do chwili, w której uda im się wejść w posiadanie pewnej ilości YM-400. Poczynili wszelkie niezbędne przygotowania do potajemnych eksperymentów na pełną skalę. Jednak, o ile nie są kompletnymi idiotami, muszą przedtem przeprowadzić dokładne wstępne badania tego związku i jego możliwości. Ta faza powstałej sytuacji nie powinna być zbyt niebezpieczna, a nie da się jej zakończyć w czasie krótszym niż sześć miesięcy.

Fry pokręcił głową z irytacją.

— Sześć miesięcy — mruknął. — Może nam się poszczęści i zgarniemy ich w przyszłym tygodniu, Howard... ale tam jest osiemnaście planet i satelitów klasy planetarnej o najwyższych poziomach zaludnienia, siedemdziesiąt trzy miasta kosmiczne o łącznej liczbie mieszkańców ośmiokrotnie większej od ludności tych planet, pięć Planet Posiadaczy, na każdej z których można by w ukryciu trzymać w nieskończoność całą armię, gdyby tylko ktoś zechciał zadać sobie tyle trudu. Jeśli dodać do tego blisko sto tysięcy odłamów społeczności w pół-habitatach, na asteroidach, w stałych stacjach i na poruszających się statkach – nie damy rady, Howard! Nie w ciągu sześciu miesięcy. Już zaczęliśmy przepuszczać przez sito każdego, kto może mieć choćby najmniejszy związek z tą robotą na transportowcu kosmicznym, i rozpoczniemy pracę z waszymi listami

podejrzanych, kiedy tylko znajdą się w naszych rękach. Ale nie spodziewajcie się wyników, w czasie krótszym niż rok…

Fry, choć raz, okazał się zbytnim optymistą.

Minęło półtora roku. Niekończące się serie mniej lub bardziej obiecujących tropów, utknęły w martwym punkcie. Zaginiony YM-400 nie odnalazł się.

IPA ponownie zarzuciła sieci i zaczęła sprawdzać możliwości, które pozostały.

Oglądana z lotu ptaka Lion Mesa, położona w południowo-zachodniej części kontynentu amerykańskiego, na Planecie Posiadanej, Terrze, była nachylonym, mniej więcej trójkątnym płaskowyżem, porośniętym zielonymi gęstymi skupiskami cedrów i pinyonów, poznaczonym punkcikami nagich skał. Miał on osiem mil szerokości, w najszerszym i najwyższym miejscu, położonym bezpośrednio za sterczącą w kierunku północnym skalną masą, która odrobinę przypominała krótką, uniesioną szyję i ciężką głowę nasłuchującej bestii. Przypuszczalnie to właśnie ta niezwykła formacja skalna dała nazwę całemu płaskowyżowi. Od tego miejsca, teren opadał w południową stronę, stopniowo zwężając się aż do trzeciego wierzchołka trójkąta. W pobliżu południowego wierzchołka, na oczyszczonym terenie, znajdowały się jedyne ślady zamieszkiwania przez ludzi – pół tuzina budynków o niewielkich lub średnich rozmiarach, gustownie zbudowanych z drewna i rodzimego kamienia. Bezpośrednio przy jednym z budynków znajdował się duży, ogrodzony masywnym płotem, podwójny corral. Było to doświadczalne ranczo zwierzęce; ranczo to, a także pół setki mil kwadratowych otaczających je nieużytków i gór stanowiły prywatną własność niejakiego Miguela Trelawneya, Posiadacza Ziemskiego.

Przez ostatnie dwadzieścia minut Frank Dowland – porucznik Frank Dowland z Solar Police Authority – poruszał się powoli swym sieciowym samochodem, wzdłuż brzegów ławicy chmur na zachód od mesa, dyskretnie ukryty na niewielkiej wysokości ponad nią. W tym czasie badał teren rancza przy pomocy wiązki lunety myśliwskiej o dużej mocy. Nie zauważył żadnej aktywności, a ranczo sprawiało wrażenie chwilowo opuszczonego, co mogło być prawdą. Obecne miejsce pobytu Miguela Trelawneya nie było znane, a Lion Mesa była tylko jednym z wielu miejsc, w których okresowo można go było spotkać.

Dowland odłożył w końcu lunetę i popatrzył na słońce, które za godzinę miało zajść. Był to krępy, mocno zbudowany mężczyzna około trzydziestki, ubrany w strój myśliwski. Wyposażenie sieciowego samochodu, poza kilkoma specjalnymi rzeczami, mogłoby spokojnie należeć do handlarza żywą zwierzyną, którą to przykrywkę Dowland regularnie przyjmował podczas pracy na planecie.

Rodziny Posiadaczy tradycyjnie niechętnie odnosiły się do wszelkich przejawów władzy Najwyższego Rządu, na Terrze, i niezbyt serdecznie przyjęłyby detektywa z policji w Solar City, niezależnie od charakteru jego misji. Jednak eksport nadwyżek rodzimej fauny był jedną z form handlu, wobec której byli bardziej tolerancyjni. Co więcej, sami byli zapalonymi miłośnikami polowań. Dowland zazwyczaj całkiem nieźle się z nimi dogadywał.

Otworzył ukryty schowek w desce rozdzielczej samochodu i wyjął zestaw zdjęć rancza Trelawneya na płaskowyżu, zrobionych z wysokości kilkuset metrów nad ziemią. Przez kilka sekund Dowland porównywał szczegółowo zdjęcia, z widokiem, który roztaczał się przed jego oczyma. Wyglądało na to, że w ciągu ośmiu miesięcy, jakie upłynęły od wykonania zdjęć, w żadnej z budowli nie zaszły zmiany. Przynajmniej nie nad powierzchnią ziemi.

Dowland potarł nos i lekko się skrzywił. Jeśli ranczo rzeczywiście było opuszczone, najlepiej będzie na razie zostawić je w spokoju i poszukać Trelawneya gdzie indziej. Zejście na dół bez zaproszenia, pod nieobecność właściciela, byłoby tak samo nie na miejscu dla doświadczonego gościa na Terrze, jak i dla Posiadacza. Gdyby go zauważono – co na tym obszarze może było mało prawdopodobne, ale jednak niewykluczone – mógłby się, co prawda, usprawiedliwiać podejrzeniem problemów z silnikiem, w wozie sieciowym. Wymówka była dobra, ale jednorazowa. Wolał zachować ją jako sposób na przedstawienie się Trelawneyom, gdy w końcu uda mu się z nimi spotkać – albo z Miguelem, obecną głową mocno skurczonej rodziny, albo z młodszym przyrodnim bratem Miguela, doktorem Paulem Trelawneyem. Żaden z nich nie był poważnym podejrzanym w sprawie zaginionego rządowego YM-400, ale trochę trudno było ustalić, co się z nimi działo przez ostatnie półtora roku. Zadaniem Dowlanda było dowiedzieć się tego i zrobić to w sposób dyskretny. Absolutna rutyna.

Terra, z punktu widzenia poszukiwań YM, nie wydawała się początkowo specjalnie złym wyborem. Posiadacze żywili otwartą urazę do Najwyższego Rządu, który ograniczył ich nominalnie nieskrępowane prawa do planety, stosując nieco podstępne środki prawne, gdy ustanawiano zasady funkcjonowania Światów Posiadanych. Zasadniczo Rodziny stały się bardzo wysoko opłacanymi opiekunami Terry. Dla Dowlanda, wychowanego w zatłoczonych tunelach systemu gigantycznych sztucznych asteroid, znanych jako Solar City, ochrona zasobów naturalnych żyjącego świata wydawała się być dobrym pomysłem. Terrańskie Rodziny były zainteresowane ochroną, ale na swoich warunkach i pod swoją kontrolą. Najwyższy Rząd grzecznie odmówił.

To była jedna strona tej sprawy. Drugą stanowił fakt, że liczne spierające się frakcje w miastach kosmicznych i na tak zwanych otwartych światach, chciałyby przenieść się na planety Posiadane. Najwyższy Rząd ponownie odmówił, i znowu Dowlandowi wydawało się to dosyć sensowne. Posiadacze obawiali się jednak – być może słusznie, tak dalece, jak

Dowland mógł to stwierdzić – że naciski polityczne będą rosły z każdym wzrostem nadmiarowej populacji i w końcu doprowadzą do podjęcia takich działań. Wielu z nich, prawdopodobnie większość, na czele z Anthonym Brandem Carterem – Firebrandem Carterem, głową największej i najbogatszej z Rodzin – uważało, że jedynym bezpiecznym rozwiązaniem jest uzbrojenie planety. Domagali się prawa do ciężkiej broni, i to w wystarczającej ilości: prawa do jej budowania, obsadzania i, w razie potrzeby, użycia do pokonania wkraczających grup. Najwyższy Rząd zauważył, że posiadanie i używanie głównych narzędzi wojny jest jego wyłącznym przywilejem. Spór sądowy w tej sprawie toczył się od dziesięcioleci i był co jakiś czas wznawiany przez Cartera i jego współpracowników. W międzyczasie wielu dawnych sportsmanów z Terry stało się członkami niezwykle sprawnej grupy zwanej Żołnierzami Cartera i wytrwale ćwiczyło umiejętność walki, korzystając z dostępnych im środków. Dowland i Solar Police Authority wiedzieli, że Żołnierze byli świetnymi strzelcami, doskonałymi lotnikami i jeźdźcami, ale Rząd Najwyższy, jak na razie, nie przejmował się tym.

Paul Trelawney, młodszy z braci, był Żołnierzem przez dwa lata, gdy miał dwadzieścia parę lat, a następnie pokłócił się gwałtownie z Firebrandem Carterem, opuścił Terrę, aby studiować fizykę na uniwersytetach należących do Najwyższego Rządu i właśnie otrzymał swój stopień naukowy. Nie wiadomo było, co robił później. Na Terrze pojawiał się sporadycznie, być może był tu w chwili bieżącej. Miguel, starszy od Paula o prawie dwadzieścia lat, obecnie po pięćdziesiątce, również interesował się fizyką, uczęszczając na uniwersytet Najwyższego Rządu ćwierć wieku wcześniej. Studia Miguela zakończyły się przed uzyskaniem dyplomu, w wyniku różnicy zdań z rektorem uczelni, którego wyzwał na pojedynek. Historia życia obu braci wskazywała, zdaniem Dowlanda, na więcej niż ślad megalomanii, która bywa aż nazbyt częsta u ludzi z ogromnym majątkiem i bez realnych zdolności, jakimi potrafiliby się wyróżnić. Ale mimo ich wyboru kierunku studiów, nic nie łączyło Trelawneyów z zaginionym YM. Geniusz umysłowy mógłby czynić ich podejrzanymi, ale ich ilorazy inteligencji, choć zdecydowanie większe niż przeciętne – o kilka oczek wyższe od należącego do samego Dowlanda – nie były jednak wybitne.

Ich wyniki w nauce były porównywalnej jakości. Miguel, po powrocie na Terrę, porzucił fizykę na rzecz biologii eksperymentalnej. Ranczo na Lion Mesa było przystosowane do jego hobby, które w tej chwili polegało na produkcji gatunku gigantycznych dzikich świń, do celów łowieckich. Przypuszczalnie hodowla tych niepokornych ton bekonu na kopytach zaspokajała jego potrzebę wyróżnienia się, jako dżentelmen naukowiec. Poza krótką współpracą Paula z Żołnierzami Cartera żaden z braci nie wykazywał zainteresowania terrańską polityką.

Były to raczej kiepskie perspektywy, ale Dowland miał informacje, że po półtora roku śledztwa, lepsze perspektywy uznano już za prawie

wyczerpane i nie przyniosły one żadnych rezultatów, stawiając różne wydziały Interstellar Police Authority w tej zniechęcającej sytuacji, w której musiały zacząć podejrzewać niemal każdego. Jeśli do zachodu słońca nie pojawią się tutaj żadne ślady obecności Miguela Trelawneya, postanowił, że przejdzie do następnego punktu na liście. Zwierzęta Trelawneya znajdowały się pod opieką automatów; może minąć kilka tygodni, zanim ich właściciel pojawi się, aby je sprawdzić.

Jego wzrok pobieżnie przesunął się po równinie, na której wznosiła się mesa. Dzisiaj było dosyć niespokojnie; porywisty wiatr wstrząsał samochodem, a wzdłuż pasm górskich na północy, kotłowały się burze z piorunami. W dole piasek i pył wirowały na stromych zboczach mesa. Biorąc ponownie lunetę myśliwską, Dowland zaczął przesuwać jej wizjer niemal bezładnie i z niewielkim powiększeniem, po grzbiecie płaskowyżu. Przed oczyma przechodziły mu gęste masy drzew, gdzieniegdzie odepchnięte na bok przez pożłobione wiatrem skały. Kompletnie dzikie miejsce. Przemieścił szkła z powrotem na teren rancza i nagle utkwił je w tamto miejsce…

Ktoś pojawił się w zasięgu wzroku, przesuwał się w stronę najbliższej mu krawędzi płaskowyżu. Dostrzegł błysk czegoś białego. Skupiając się uważnie na tej postaci, Dowland włączył pełne powiększenie, i w soczewkach pojawił się obraz z bliskiej odległości, młodej kobiety.

Zatrzymała się i w tej samej chwili Dowland z zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że kobieta patrzy na niego przez lornetkę. Ale bez wiązki wizyjnej IPA, jej szkła nie mogły oczywiście zdziałać niczego więcej, niż pokazać jej, że tam w górze znajduje się samochód sieciowy. Natychmiast jej wolna ręka uniosła się do góry, trzymając kawałek długiego białego materiału, i zaczęła nim machać w powietrzu nad głową, wykonując szybkie, energiczne gesty.

Pomimo zasłaniającej część twarzy lornetki, Dowland od razu rozpoznał tożsamość kobiety – w ciągu ostatnich kilku dni przestudiował wiele jej zdjęć. Była to Jill Trelawney, najmłodsza z trzech żyjących członków rodu Posiadaczy Trelawney. Miguel i Paul byli jej wujami – a jeśli ona tutaj była, to z pewnością jeden lub drugi z mężczyzn, również musiał się tu znajdować.

Oczywiste było, że dawała znaki do samochodu. Dowland popatrzył na znajdujący się przed nim na pulpicie komunikator, stwierdził, że jest on włączony, ale nie rejestruje żadnych miejscowych połączeń. Jego oczy zwęziły się od domysłów. Nagle to wszystko wydało mu się odrobinę interesujące. Jeśli Trelawneyowie spodziewali się gościa, ale woleli nie zwracać się do niego przez otwarty system łączności, to znaczy, że chcieli by trudno ich było odnaleźć.

Co mogło, oczywiście, oznaczać wiele rzeczy, które kompletnie nie interesowały IPA. Ale...

Dowland wyjął z kieszeni kurtki myśliwskiej pistolet policyjny i zaczął go sprawdzać dotykiem, po czym pochylił nos samochodu w stronę rancza i poleciał w dół, w kierunku lądowiska. Każdy z obu braci mógł zdecydować się na sprawienie jakichś kłopotów, zwłaszcza jeśli miał coś

do ukrycia – ale przynajmniej nie mogli twierdzić, że nie został zaproszony na dół.

Unosząc ponownie wzrok na dziewczynę, zauważył, że zdała sobie sprawę z jego lądowania. Rzuciła kawałek materiału, ale nadal patrzyła w kierunku samochodu, zaś wolną ręką osłaniała oczy przed blaskiem zachodzącego słońca.

W następnej chwili, bez najmniejszego ostrzeżenia, wszystkie przyrządy w panelu przed Dowlandem zgasły. Po czym samochód sieciowy zaczął spadać jak kamień.

Ogólnoświatowa sieć grawitacyjna była głównym źródłem energii na Terrze. Była to idiotycznie droga instalacja; w zasadzie żadna inna planeta nie mogłaby sobie na nią w tej chwili pozwolić. Po jej zainstalowaniu wykorzystywano ją do realizacji idiotycznie drobnych zadań. Na Terrze było zbyt mało ludzi, aby można było zacząć korzystać z sieci, w bardziej znaczący sposób.

Miała ona jednak pewne cechy kompensujące. Sieć była estetycznie dyskretna i dostępna wszędzie. Zasilała wszystko, od osobistych zegarków naręcznych po ogromne maszyny dokujące w portach kosmicznych. I była niezawodna. W ciągu osiemdziesięciu lat działania sieci nie odnotowano żadnych awarii zasilania ani wypadków z nią związanych.

Dowland, manipulując rozpaczliwie sterami samochodu, pomyślał, że ten chwalebny rekord bezpieczeństwa może zostać poważnie naruszony już za jakieś trzy czwarte minuty. Będzie miał szczęście, jeśli uda mu się znaleźć na dole żywym. Zaś jeszcze jedna myśl domagała się innego rodzaju działania, z niemal równą pilnością – wszelkiego rodzaju niezwykłe i niewyjaśnione zjawiska fizyczne, należały do rzeczy, na które uczulano poszukiwaczy YM; a on z pewnością natknął się tutaj na jedno z nich.

Rzucił spojrzenie na swój zakamuflowany komunikator na nadgarstku. Jeśli uda mu się zdobyć kilka sekund, będzie mógł przesłać alarmowy sygnał do przedstawiciela Solar Police Authority w porcie kosmicznym Columbia.

Nie miał jednak tych kilku sekund. Samochód sieciowy był kiepskim szybowcem – ociężałym, straszliwie powolnym w reakcji. Krawędź mesa skoczyła w górę. Jeśli nie wceluje w ten kawałek czystego terenu wokół rancza Trelawneyów, samochód albo rozleci się na kawałki w znajdującym się za nim lesie, albo spadnie na stos skalnego gruzu, u podnóża mesa. Ponownie wcisnął pedał gazu i poczuł, że samochód na chwilę zaczyna się wznosić.

— **B**ardzo przepraszam! — krzyczała Jill Trelawney, biegnąc w jego kierunku po opadającym szczycie płaskowyżu. — Tak strasznie mi przykro. Próbowałam pana ostrzec. Po prostu nie zdawałam sobie sprawy… czy jest pan ranny?

Jej twarz, pomyślał Dowland, nie była z pewnością bielsza od jego własnej. Daszek samolotu zapadł się wokół niego, a poszarpany odłamek silnika wbił się w siedzenie pasażera, po prawej stronie. Kiedy próbował wstać, fragment plastikowej płyty podłogowej urwał się, a jego stopa podążyła za nim i uderzyła o twarde podłoże. Z trudem wydostał się z fotela. Samochód sieciowy skrzypnął zmęczony i opadł o kolejne sześć cali. Dowland odepchnął na bok kawałek dachu i stwierdził, że może się wyprostować.

Odchrząknął.

— Chyba nic mi nie jest. W każdym razie nie jakoś bardzo.

— Pańska twarz – ona krwawi!

Dowland dotknął językiem rozciętej wargi i skrzywił się.

— Nie zauważyłem, że to się stało... przez chwilę latało tam sporo różnych rzeczy. No dobrze, co się dzieje?

Dziewczyna przełknęła nerwowo ślinę, wpatrując się w niego.

— Nie ma zasilania.

— To zauważyłem. — Coś przyszło Dowlandowi do głowy. — To dlatego nie mogła pani mnie wezwać przez komunikator.

— Tak, ja…

— Jak długo nie ma tu energii?

— Od dzisiejszego ranka.

Popatrzył na nią zamyślony, a na jej twarzy pojawił się natychmiastowy rumieniec.

— Wiem — powiedziała. — To było strasznie głupie z mojej strony, że nakłaniałam pana do lądowania. Po prostu nie przyszło mi do głowy, że…

— Wszystko w porządku — odparł Dowland. — Jestem tu, i już. — Była bardzo ładna, choć na jej twarzy widać było w tej chwili ogromne napięcie. Napięcie i strach. — Nie mogła pani wiedzieć, jak daleko sięga obszar awarii. — Spojrzał na budynki. Huk jego lądowania nie spowodował, aby ktokolwiek się pokazał. — Nie jest pani chyba tutaj sama, co?

— Nie. — Zawahała się, po czym kontynuowała na wpół przepraszającym tonem: — Jestem pewna, że powinnam pana pamiętać, ale nie pamiętam.

— No cóż, raczej pani nie powinna — powiedział Dowland. — Nie jestem Posiadaczem.

Błysk reakcji w jej oczach sprawił, że zjeżyły mu się włoski na karku. Sprawa wyglądała na gorącą, zgadza się. Kontynuował:

— Być może jednak obiło się gdzieś pani o uszy moje nazwisko. Frank Dowland, z firmy Dowland Animal Exports.

— Ach, tak. — Najwyraźniej rozpoznała jego nazwisko. — Jestem Jill Trelawney, panie Dowland. Ja... wydarzył się wypadek. Obawiam się, że poważny.

— Kolejny wypadek? Jakiego rodzaju?

Pokręciła głową.

— Nie wiem. Czy ma pan ze sobą apteczkę?

— Oczywiście. Kto jest ranny?

— Mój wujek. Miguel Trelawney. Jest na górze, w domu.

— Co mu jest?

— Tego właśnie nie wiem. Wygląda… wydaje mi się, że jest strasznie chory. W jakiś sposób.

— Od jak dawna jest chory?

Zawahała się.

— Od dzisiejszego ranka.

— Od czasu, gdy wysiadło zasilanie sieciowe?

Jill wyglądała na zaskoczoną.

— Właściwie, tak.

I to mniej więcej by się zgadzało. Zapytał:

— Byliście tu sami we dwójkę?

— Nie. Jestem pewna, że to wszystko brzmi jak kompletne wariactwo, ale… — Skinęła głową w stronę jednego z budynków stojących w dole spadku płaskowyżu, długą drewnianą budowlę, która na zdjęciach Dowlanda z rancza identyfikowana była jako stodołę na paszę. — Mój drugi wujek, Paul Trelawney – on się tam zamknął.

— Zamknął się? — powtórzył Dowland.

— Tak. Gdzieś jest drugi klucz do drzwi, ale nie mogę go znaleźć.

— Czy Miguel wie, gdzie on jest?

— Myślę, że tak.

— W takim razie spróbujemy przywrócić mu przytomność przynajmniej na tyle, żeby nam to powiedział. Niech pani lepiej wraca do domu, panno Trelawney. Ja znajdę apteczkę. Będę tam za chwilę.

Patrzył, jak jej wysoka, gibka postać rusza z powrotem pod górę płaskowyżu, pokręcił lekko głową i odwrócił się w stronę wraku samochodu. Albo była odrobinę głupia, albo nie chciała zbyt wiele powiedzieć nie-Terraninowi. To ostatnie wydawało się bardziej prawdopodobne. Szkoda by było, gdyby się okazało, że jest zamieszana w jakąś działalność w rodzaju tej sprawy z YM, ale na to nie miał wpływu. Musiał natychmiast to zameldować, a specjaliści z Najwyższego Rządu mogli tu być za godzinę. To nie było jego zadanie.

Ostrożnie wsiadł z powrotem do samochodu. Tak, by nie było tego widać z domu, nacisnął przycisk komunikatora na nadgarstku i powiedział:

— Chris? Tu Dowland. Sytuacja alarmowa — i czekał na szum odpowiedzi z urządzenia.

Nie było żadnego szumu.

Pół minuty później zdjął komunikator z nadgarstka i otworzył go. Nie przypominał sobie, aby uderzył nadgarstkiem o cokolwiek na tyle mocno, aby go uszkodzić, ale delikatne mechanizmy w środku zmieniły się w skłębioną masę zniszczonych kryształków. Miał jeszcze przenośny komunikator w swoim ekwipunku obozowym. Działał on jednak na zasilaniu sieciowym.

Wyglądało na to, że pomimo wszystko jeszcze przez jakiś czas jednak będzie to jego zadanie.

Miguel Trelawney, według niewypowiedzianej na głos opinii Dowlanda, był umierający. Był potężnie zbudowanym i mocno umięśnionym mężczyzną, ale leżąc na niskiej kanapie w salonie wyglądał jakby się skurczył. Skóra w kolorze ołowiu i nitkowaty puls. Krwotok wewnętrzny, jak można przypuszczać – przypuszczenie świadomego laika. Poparzenia popromienne.

Dowland popatrzył na dziewczynę. Była zaniepokojona i spięta, ale nie aż tak by popadać w histerię.

— Może uda nam się przywrócić go do przytomności — oznajmił bez ogródek. — Ale zajmie to co najmniej kilka godzin. Jest w złym stanie.

Jej dłonie, zaciśnięte na kolanach, pobielały w okolicach kostek.

— Czy uda się go… uratować

Dowland pokręcił głową.

— Nie wiem, czy tutaj będziemy w stanie go uratować. Gdybyśmy go natychmiast zabrali do jednego z waszych szpitali, miałby bardzo duże szanse. Ale nie za bardzo mamy możliwość to zrobić – chyba że sieć energetyczna znowu się włączy.

Spytała słabym głosem:

— Co się mu stało?

— Droga pani, to raczej oczywiste. Został poparzony przez promieniowanie.

— Poparzony przez promieniowanie? Ale jak?

— Nie wiem. — Dowland otworzył zestaw medyczny, wyciągnął z niego kilka małych pojemniczków, obrócił jeden z nich w dłoni. Zapytał: — Gdzie był, kiedy go pani znalazła?

— Leżał przed drzwiami do laboratorium.

— Laboratorium?

Jill Trelawney przygryzła wargę.

— W budynku, który panu pokazywałam.

— Tam, gdzie zamknął się Paul Trelawney?

— Tak. Oni nazywają go laboratorium.

— Kim są ci oni?

— Miguel i Paul.

— Co to za laboratorium? — zapytał Dowland obojętnym tonem.

— Nie wiem. Oni coś tam budują. Jakąś maszynę.

— Czy pani wujowie są naukowcami?

— Tak. — Ton jej głosu zaczął twardnieć – pani Posiadaczka, odrzucająca wścibstwo nie-Terranina.

Dowland powiedział:

— Gdybyśmy wiedzieli, czy w tym laboratorium mają skafandry chroniące przed promieniowaniem…

— Myślę, że mają.

Skinął głową.

— To mogłoby tłumaczyć stan Miguela.

Wziął z zestawu malutką strzykawkę podskórną, wbił jej igłę przez punkt penetracyjny w wybranym przez siebie pojemniczku i powoli ją napełnił. Jill poruszyła się niespokojnie i zapytała:

— Co pan mu podaje?

Dowland popatrzył na nią.

— Nie wiem dokładnie. Nazwa na etykietce to „lekarz”. Istnieje około trzydziestu innych nazw tego, prawdopodobnie takiego samego preparatu. Wszystkie są bardzo popularne wszędzie tam, gdzie nie ma łatwego dostępu do dobrych lekarzy i dobrych szpitali. Na Terrze nie spotkałem się z „lekarzami”, ale wożę ze sobą swój własny zapas.

— Co mu to da?

— No cóż, jak rozumiem, kiedy tylko wstrzyknę mu to w ramię, rozprzestrzeni się to po całym jego ciele i zacznie wszystko analizować. Wygląda na to, że „lekarz” wie, jak powinno wyglądać zdrowe ludzkie ciało. Więc diagnozuje, co jest nie tak – objawy przeziębienia, wypalone płuca, kac, złamana kostka – a następnie próbuje przywrócić sytuację do normy.

Podwinął rękaw Miguela Trelawneya, wbił końcówkę igły w jego gruby, zwiotczały biceps i powoli nacisnął tłoczek.

— „Lekarza” można zakwalifikować do kategorii wirusów – wirusów o bardzo dobroczynnym działaniu, jeśli idzie o ludzi. — Wyjął igłę, spojrzał na zegarek. — Już prawie szósta trzydzieści... Kaca zlikwidowałby w trzy minuty. Ale sądząc po stanie, w jakim wydaje się znajdować pani wujek, może minąć jeszcze cztery lub pięć godzin, zanim środek zacznie naprawdę działać. Jeśli uda się nam przywrócić go do przytomności, to prawdopodobnie nie nastąpi to wcześniej niż rano. Może trochę wcześniej, ale nie sądzę, żebyśmy mogli czekać na to, zanim spróbujemy wyciągnąć wujka Paula z laboratorium. Jeśli nie wyszedł z laboratorium o własnych siłach, może być w takim samym stanie jak Miguel. Albo jeszcze gorszym.

Twarz Jill lekko zbladła.

— Tak, myślałam o tym.

Dowland stał patrząc na nią, przygryzając dolną wargę.

— Wie pani, panno Trelawney, jest coś bardzo dziwnego w tym, że znalazła pani Miguela leżącego przed laboratorium, kiedy drzwi były zamknięte.

Przytaknęła.

— Wiem. Nie potrafię tego w żaden sposób wyjaśnić.

— Czy w pobliżu nie ma jakiegoś magazynu – gdzie mogliby na przykład trzymać skafandry radiacyjne?

— Magazynem rancza jest ten mały kwadratowy budynek na południe stąd. Przeszukałem go dziś rano w poszukiwaniu klucza do laboratorium. Nie widziałam tam żadnych skafandrów radiacyjnych.

— Wie pani, jak takie skafandry wyglądają?

— Tak. Miałem jeden taki na sobie, gdy brałem udział w ćwiczeniach obrony przed atakiem.

— Czy rozpoznałaby pani klucz do laboratorium, gdyby go pani zobaczyła?

— Tak. Miguel pokazywał mi ten, który zwykle nosi przy sobie. — Wstała, podeszła do wiszącego nad kominkiem płaszcza, wyjęła z kieszeni okrągły kawałek metalu, gruby na pół cala, z gładko ściętym brzegiem. Podała go Dowlandowi. — Klucz jest bardzo podobny do tego, ale co najmniej trzy razy większy.

Dowland wziął od niej przedmiot i pokręcił głową.

— Droga pani, po jego wadze widać, że to jest metastal. Z tego materiału robi się skarbce bankowe i kadłuby pancerników. Wygląda na to, że drzwi do laboratorium pani wujów mają zamek atomowy, bo do takich właśnie przeznaczony jest ten rodzaj klucza. Wie pani może, czy budynek jest od wewnątrz wyłożony stalą?

— Może być. Miguel mówił mi, że jego wybudowanie było bardzo kosztowne, że chciał mieć pewność, iż nikt się nie dostanie do środka, kiedy jego tutaj nie będzie.

— Jeśli jest zbudowany z metastali, to naprawdę zrobił to jak trzeba — stwierdził Dowland. — A to czyni masz problem trudnym. — Spojrzał na klucz w swojej dłoni. — Do czego jest ten klucz?

— Nie wiem. Ale jestem pewna, że żadne inne drzwi na ranczu nie mają zamka atomowego. Dziś rano znalazłam ten klucz w kieszeni Miguela.

— No cóż, pewnie nam się do niczego nie przyda — powiedział Dowland. — Niech pani mnie posłucha, panno Trelawney. Mam przy sobie pistolet, którego siłę rażenia można zwiększyć do mniej więcej sześciokrotnej siły uderzenia pocisku z ciężkiego karabinu. Wypróbuję go przy pełnej mocy na śluzie do laboratorium, a potem dookoła na ścianach. Ale jeśli tam wszędzie jest metastal, to strzelanie do niej nic nam nie da. Wtedy możemy jeszcze raz poszukać tego klucza. Mogę też spróbować zejść z płaskowyżu i sprowadzić pomoc.

Jill popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

— Nawet w dzień droga na dół nie jest łatwa. A w nocy byłoby jeszcze gorzej.

Dowland odparł:

— Z tym akurat nie będzie większego problemu. Na tę wyprawę wziąłem ze sobą sprzęt alpinistyczny – planowałem zabrać stąd barana Marco Polo i parę owiec – mam pistolet do wstrzeliwania haków, haki zaciskowe, pół mili liny magnetycznej; wszystko. Pytanie brzmi: na ile to nam się przyda? Mam polowy komunikator, ale jest on zasilany z sieci, a nie wiemy, jak daleko na poziomie gruntu sięga ten brak zasilania. Czy na równinie jest może ktoś, z kim moglibyśmy się skontaktować? Może będzie miał konie.

Pokręciła głową.

— Słyszałabym o tym. Mógłby pan błąkać się tam tygodniami, zanim ktoś by pana znalazł.

Dowland milczał przez chwilę.

— No cóż — powiedział — i tak chyba warto spróbować, jeśli w ciągu kilku godzin nie uda nam się niczego osiągnąć tutaj. Sądząc po położeniu mojego samochodu w chwili wyłączenia zasilania, nie powinno być więcej niż dziesięć mil pieszej wędrówki od płaskowyżu, zanim będę mógł zacząć

używać komunikatora. Ale oczywiście to zajęłoby mi dużo czasu. Zobaczymy więc najpierw, co da się zrobić tutaj.

Włożył kurtkę.

— Niech pani lepiej zostanie z wujkiem, panno Trelawney. Ja…

Przerwał. Spoza domu nagle doleciała piekielna wrzawa – gwiżdżące piski, a potem gniewny, rozdzierający uszy hałas, coś pomiędzy wyciem a rykiem. Dziewczyna drgnęła, po czym uśmiechnęła się nerwowo. Dowland zapytał:

— Co to jest?

— To świnie Miguela. Pewnie są po prostu głodne. Sprzęt do karmienia w chlewie oczywiście też nie działa.

— Świnie? Słyszałam, już hałasujące świnie, ale nigdy czegoś takiego.

— Te świnie — odparła Jill — są dosyć duże. Mój wujek interesuje się eksperymentalną hodowlą. Z tego co wiem, największy odyniec waży prawie dwie tony. To przerażające bestie. Miguel jest jedyną osobą, która może zbliżyć się do tych dzików.

Na dworze był wczesny wieczór, wciąż jasno, ale Dowland poszedł najpierw do wraku samochodu sieciowego, po latarkę. Będzie jej potrzebował w nocy, a może nawet natychmiast, jeśli okaże się, że udało mu się sforsować wejście do laboratorium. W takim wypadku – jeśli mimo wszystko budynek nie był jednak zbudowany z metastali – prawdopodobnie nie znajdzie w środku YM. Co, jak Dowland sam przed sobą przyznawał, bardzo by mu odpowiadało.

Był jednak w zasadzie pewien, że substancja tam jest. Instrukcje Najwyższego Rządu dotyczące tego, na co należy zwracać uwagę, pozostawały irytująco niedookreślone, ale konsekwentnie podkreślały szukanie, tego co niezwykłe, zwłaszcza w połączeniu z tym, co katastrofalne. I jak dotąd, właśnie taki opis pasował do sytuacji tutaj. Wielkim i bardzo niepokojącym pytaniem było, jakiego rodzaju katastrofa może wybuchnąć w najbliższym czasie.

Pojawiały się też inne pytania, nawet trochę zbyt wiele, w tej chwili. Ale jedno, na które chciał natychmiast uzyskać odpowiedź, dotyczyło roli Jill Trelawney. Istniał niezawodny sposób na wydobycie z niej informacji, ale zanim go zastosuje, musi się upewnić, że nie jest tak niewinna, jak się zachowuje. Musiał przynajmniej ustalić, że działania w laboratorium stanowiły jakieś poważne naruszenie praw Najwyższego Rządu – nawet jeśli nie były one bezpośrednio związane z YM – i że dziewczyna o tym wszystkim wiedziała. W przeciwnym razie cały obecny plan poszukiwań YM-400 na Terrze, mógłby stać się bardzo oczywisty dla wszystkich zainteresowanych stron.

Pomyślał, że ma sposób, aby zmusić Jill do wykonania ruchu. Gdyby posiadała wiedzę dowodzącą jej winy, mogłaby uznać nie-terrańskiego handlarza zwierząt, który akurat do niej wpadł, w dosłownym tego słowa znaczeniu, za wygodne narzędzie do wykorzystania, w tej nagłej sytuacji.

Ona też chciała uzyskać pomoc, ale nie od Solar Police Authority. Trelawneyowie nie mogli tkwić w tym wszystkim sami.

Jeśli jednak była winna, nie mogłaby podjąć ryzyka, wykorzystania do próby uzyskania pomocy policjanta Najwyższego Rządu. Policjant nie znalazłby się tutaj, w tym bardzo szczególnym momencie, przez przypadek. Ujawnienie się przed nią, wiązało się z pewnym ryzykiem – mogłaby zareagować zbyt pochopnie – ale nie było ono duże, pomyślał Dowland. Z tego, co zdążył się o niej dowiedzieć, miała głowę na karku. Będzie chciała się co do niego upewnić.

Wrzawa w budynku dla zwierząt osłabła, gdy wrócił w dół płaskowyżu, do wejścia do laboratorium. Bestie Miguela mogły dosłyszeć jego kroki i zaczęły nasłuchiwać, czy nie wejdzie do nich. Zewnętrzne drzwi do laboratorium – zbite z zabezpieczonego przed wpływem warunków atmosferycznych drewna, z którego pozornie wykonano cały budynek – stały lekko uchylone. Dowland otworzył je mocniej, popatrzył przez chwilę na znajdującą się za nimi metastalową płytę i na okrągłe wgłębienie w tej płycie, w którym znajdował się zamek atomowy.

Jak na razie wszystko wyglądało dosyć normalnie. Trzy okna z tyłu domu, w którym zostawił Jill Trelawney z Miguelem, wychodziły na budynek laboratorium. Winna czy nie, obserwowała go z jednego z tych okien, choć być może nie doszła jeszcze do żadnych wniosków na jego temat. Wzmianka o pistolecie, była oczywistą wskazówką; opisywał policyjny automat IPA, a to była broń, której cywile nie posiadali – albo nie wspominali o niej nieznajomym, jeśli ją jednak mieli.

Ale Pani Posiadaczka może o tym nie wiedzieć.

Nie mogła jednak nie dostrzec implikacji, jakie niesie ze sobą posiadanie pola antyradiacyjnego IPA…

Dowland cofnął się o trzydzieści kroków od drzwi, wyjął pistolet i nacisnął zatrzask z boku pasa. Natychmiast wokół niego pojawiła się słaba niebieska poświata. Poświata ta nie była zbyt wyraźna, nawet na ciemniejącym płaskowyżu, ale dosyć wyraźnie widoczna dla każdego, kto obserwowałby go z jednego z okien. Wziął głęboki oddech, wciągając powietrze przez nieco utrudniające oddychanie pole.

Reszta była już kwestią odrobiny sztuki aktorskiej. Od pierwszego spojrzenia na wewnętrzne drzwi, wiedział że tylko zmarnuje ogień na metastal. Oddał jednak kilka strzałów w pięciocalową tarczę zamka, a następnie metodycznie powtórzył tę samą procedurę, idąc wzdłuż budynku, obserwując jak drewno osłaniające laboratorium przed wiatrem i deszczem, odrywa się od znajdującej się pod spodem srebrzystej powierzchni. Broń nie robiła zbyt wiele hałasu, ale zanim skończył, wieprze Miguela znów zaczęły ochryple skrzeczeć na cały głos.

Dowland wyłączył pole AR i wrócił do domu. Kiedy wszedł do krótkiego holu wejściowego, dziewczyna czekała na niego, stojąc w wejściu do salonu, z rękami złożonymi na plecach. Spojrzała na niego pytająco.

— Nie udało się panu, Dowland?

Dowland pokręcił głową.

— Ani odrobinę.

Zaczął ściągać kurtkę z ramion, zobaczył, że zza jej pleców wyłania się pistolet strzałkowy i lekko obrócił lewą rękę, ściskając czarną elastyczną kapsułę, którą trzymał między kciukiem a palcem wskazującym. Jill prawdopodobnie nawet nie zauważyła tego ruchu, a już na pewno nie dostrzegła ani nie poczuła maleńkiej igiełki, która wyleciała z kapsułki i wbiła się w przednią część jej uda. Na twarzy dziewczyny przez chwilę malowało się zdumienie, potem kolana ugięły się pod nią, a pistolet wypadł z dłoni. Powoli opadła na ziemię, przewróciła się na bok na grubym dywanie i leżała bez ruchu.

No cóż, pomyślał Dowland, miał swój dowód…

Po około pięciu minutach Jill Trelawney ponownie otworzyła oczy. Podjęła krótki wysiłek, aby podnieść się z głębokiego fotela, w którym się znalazła, ale po czym zrezygnowała z tego. Ciemnoniebieskie oczy skierowały się na Dowlanda, stojącego przed fotelem. Zobaczył w nich niepokój i gniew, a potem zimną czujność.

— Co pan zrobił? — spytała cicho.

— Strzeliłem pierwszy — odpowiedział Dowland. — Wydawało mi się, że to dobry pomysł.

Jej spojrzenie przeniosło się na Miguela leżącego na kanapie po drugiej stronie pokoju.

— Jak długo byłam nieprzytomna?

— Tylko przez kilka minut.

— A dlaczego... — Zawahała się.

— Dlaczego czuje się pani tak słabo? Otrzymała pani zastrzyk specjalnego leku, panno Trelawney. Powoduje on dwie rzeczy, które są bardzo przydatne w pewnych okolicznościach. Jedna z nich polega na tym, że powstrzymuje on biorcę przed wykonywaniem jakichkolwiek gwałtownych lub energicznych ruchów. Mogłaby pani na przykład, wstać z fotela, gdyby bardzo się pani postarała. Ale wtedy upadłaby pani na dywan. Być może nawet, udałoby się pani podnieść na czworaka. Mogłaby pani nawet zacząć czołgać się po pokoju – ale robiłaby pani to bardzo powoli.

Dowland zrobił chwilę przerwy.

— Drugą rzeczą, jaką powoduje ten narkotyk, jest wprowadzenie człowieka w przyjemny nastrój, nawet jeśli wolałby on, żeby nie było tak przyjemnie. Człowiek staje się bardzo chętny do współpracy. Na przykład, będzie pani z ochotą odpowiadała na zadawane przeze mnie pytania.

— A więc, jest pan oficerem śledczym policji — zauważyła spokojnie.

— Tak jest. — Dowland postawił obok siebie kolejny fotel i usiadł naprzeciwko niej. — Nie marnujmy więcej czasu, panno Trelawney. Czy zamierzała mnie pani przed chwilą zastrzelić?

Wyglądała na lekko zaskoczoną.

— Nie — odparła. — Nie, chyba że pan by mnie do tego zmusił. Zamierzałam pana rozbroić i zamknąć w piwnicy na dole. Siedziałby pan tam bezpiecznie tak długo, jak byłoby to konieczne.

— A jak długo miałoby to potrwać?

— Dopóki nie sprowadzę pomocy.
— Pomocy, od kogo?
Wściekła czerwień rozbłysła na kościach policzkowych Jill.
— To niewiarygodne! — oznajmiła cicho. — Pomocy od Cartera.
— Firebranda Cartera? — dopytał Dowland.
— Tak.
— Jest powiązany z pani wujami?
— Tak.
— Kto stoi na czele grupy?
— Miguel i Carter kierują nią razem. Są bardzo bliskimi przyjaciółmi.
— A kto w niej jeszcze jest – oprócz Paula i pani?
Pokręciła głową.
— Musi być w niej sporo osób, ale ja nie znam ich nazwisk. Uważamy, że najlepiej będzie, jeśli na razie będziemy wiedzieć jak najmniej o sobie nawzajem.
— Rozumiem. Ale wszyscy oni są terrańskimi Posiadaczami?
— Tak, oczywiście.
— Jak to się stało, że dowiedziała się pani o Carterze?
— W razie sytuacji alarmowej tutaj, mam się z nim skontaktować za pomocą nadajnika wąskiej wiązki laserowej.
— A właśnie — spytał Dowland — co tutaj robili pani wujowie?
— Budowali maszynę, która ma umożliwić im cofnięcie się w czasie.
— Z pomocą YM-400?
— Tak.

Dowland wpatrywał się w nią w zamyśleniu, czując lekki chłodny dreszcz. Wierzyła w to, oczywiście; w tej chwili nie potrafiłaby kłamać. Ale on w to nie wierzył. Słyszał, że niektórzy naukowcy z Najwyższego Rządu uważają, że podróż w czasie jest możliwa. Dla niego była to koncepcja, która po prostu nie mogła być prawdziwa.
Pomyślał jednak o plotkach na temat YM i o Miguelu, który został znaleziony leżący w niewytłumaczalny sposób przed budynkiem laboratorium. Zapytał ostrożnie:
— Czy ukończyli tę maszynę?
— Tak. Dzisiaj rano przeprowadzili jej pierwszy test na pełną skalę – i musiał on być przynajmniej częściowo udany.
— Z powodu Miguela?
— Tak.
— Uważa pani — spytał Dowland, — że Miguel najpierw udał gdzie indziej – lub powiedzmy raczej, kiedy indziej – a potem wrócił tutaj i znalazł się w pewnej odległości od miejsca, z którego wystartował?
— Tak.
— Ma pani jakieś pomysły, w jaki sposób został ranny?
Dziewczyna pokręciła głową.
— Awaria sieci energetycznej świadczy o tym, że doszło do jakiegoś wypadku, oczywiście. Ale nie potrafię sobie wyobrazić, co to mogło być.

— A co z Paulem? Czy myśli pani, że nadal jest w laboratorium?

— Nie, chyba że został ranny lub jest martwy.

Dowland znów poczuł chłód.

— Myśli pani, że w tej chwili może być w innym czasie?

— Tak.

— I że wróci?

— Tak.

— Czy może pani opisać tę maszynę? — zapytał.

— Nie. Nigdy nie widziałam jej planów i nie zrozumiałabym ich, gdybym je zobaczyła. I nigdy nie byłam w laboratorium.

— Rozumiem. Czy ma pani jakieś powody, oprócz sposobu, w jaki Miguel pojawił się ponownie, aby sądzić, że test zakończył się częściowym sukcesem?

— Tak. Od rana trzy razy słyszałam odgłosy rzeki płynącej pod domem.

— Co pani słyszała? — dopytywał się Dowland.

— Rzekę płynącą pod domem. Odgłosy były dosyć wyraźne. Trwały za każdym razem około trzydziestu minut.

— Na co to miałoby wskazywać? — zapytał.

— No cóż, oczywiście… ten okres czasu i inny – ten, w którym płynie rzeka – zbliżyły się do siebie. Ale ten kontakt jest w tej chwili nietrwały lub niedoskonały.

— Czy tak miała działać ta maszyna?

— Nie wiem, jak miała działać ta maszyna — odparła Jill Trelawney. — Ale wydaje się, że tak właśnie się stało.

Dowland przez chwilę spoglądał jej prosto w twarz.

— No dobrze — stwierdził — zostawmy to na razie. Kto skonstruował tę maszynę?

— Miguel to zrobił. Paul pomagał na późniejszych etapach. Inni pomagali przy konkretnych szczegółach – nie wiem, kim byli ci inni ludzie. Ale zasadniczo był to projekt Miguela. Pracował nad nim prawie od dwudziestu lat.

A to po prostu nie mogła być prawda. Chyba że…

— Panno Trelawney — zapytał Dowland, — czy wie pani, jaki jest iloraz inteligencji Miguela?

— Oczywiście. Wynosi on 192.

— A Paula?

— 189. — Uśmiechnęła się. — Zapyta pan, czy sfałszowali swoje poziomy inteligencji, zaniżając je, gdy byli badani przez władze uniwersytetu. Tak, tak właśnie było. Ta sprawa była przygotowywana od dłuższego czasu, panie Dowland.

— Jakie jest pani własne I.Q., panno Trelawney?

— 181.

W jej dossier iloraz inteligencji, oparty na zapisach znanych działań i zachowań, szacowany był na około 128. Wygląda na to, że Posiadacze bardzo dokładnie zaplanowali powodzenie tej operacji.

— Czy wie pani, kto skradł YM-400? — zapytał Dowland.

— Tak, Paul to zaaranżował.

— Czy widziała pani ten materiał osobiście?

— Tak. Dwie małe skrzynki z niebieskimi sztabkami. Bardzo ciemno niebieskimi. Pojedyncze sztabki wydają się być dość ciężkie, choć nie są zbyt duże.

To był dokładnie opis tego, czego szukał Najwyższy Rząd. Dowland zapytał:

— Ile z tego materiału znajduje się w laboratorium?

— Tam jest wszystko.

Poczuł, że włosy na głowie stają mu dęba.

— Wszystko! Czy twoi wujowie nie słyszeli, że YM jest niezwykle niebezpieczne, jeśli ktoś zacznie się nim bawić?

— Oczywiście. Ale Miguel zbadał ten związek bardzo dokładnie, zaraz po jego otrzymaniu. Jeśli podejmie się rozsądne środki ostrożności, nie ma możliwości, aby stał się niebezpieczny. Doszedł do wniosku, że Najwyższy Rząd rozpuścił te plotki jako blef, aby zapobiec użyciu YM.

— To, co się wydarzyło tutaj — zauważył Dowland — może wskazywać, że to jednak nie był blef.

— Wyciąga pan pochopne wnioski, Dowland. Wiele innych rzeczy mogło pójść nie tak.

— Być może. Ale moje I.Q. 136 mówi mi, że w tej chwili grozi nam poważne niebezpieczeństwo.

Jill przytaknęła.

— To z bardzo dużym prawdopodobieństwem może być prawdą.

— W takim razie może udzieli mi pani pełnej współpracy, dopóki my – pani, ja, pani wujowie – nie wyjdziemy z tego bezpiecznie?

— W tej chwili — zauważyła Jill — wydaje mi się, że nie mam w tej sprawie zbyt wielkiego wyboru.

— Nie o to mi chodzi. Lek przestanie działać w ciągu kilku godzin. Będzie pani mogła znowu swobodnie się poruszać, a to czy zechce pani współpracować czy nie, będzie zależało tylko od pani. Jak się wtedy pani zachowa?

— To zależy — stwierdziła Jill — od tego, czy dojdziemy do porozumienia.

— Porozumienia w jakiej sprawie?

— Ceny za pańskie milczenie i za wszelką pomoc, jakiej może pan udzielić w zachowaniu tej sprawy w tajemnicy. Może pan oczywiście ustalić tak wysoką cenę, jakiej tylko pan zechce. Terra się na nią zgodzi.

Dowland wpatrywał się w nią, odrobinę zdumiony. Biorąc pod uwagę okoliczności, była to najbardziej zimna próba negocjacji, z jaką się spotkał. I – biorąc pod uwagę jej I.Q. równe 181 – wydawała się ona dosyć mało realistyczna.

— Panno Trelawney — odparł — jedyne, co może mi dać milczenie, to dwudziestoletni pobyt w więzieniu IPA. Nie jestem aż tak głupi.

— Nie jest pan również świadom prawdziwego obrazu sytuacji

— No dobrze — powiedział Dowland, — jak więc ona wygląda?

— Miguel i Paul zasłużyli sobie na prawo do przeprowadzenia pierwszych badań. Mogą ich nie ukończyć. Ale duplikaty ich maszyny z laboratorium zostały ukryte na całej planecie, czekając na uruchomienie przez inne zespoły naukowców Posiadaczy. Rozumie pan? Badania będą kontynuowane, dopóki nie zostaną rozpoznane i pokonane wszystkie problemy związane z cofaniem się w czasie.

Dowland zapytał:

— Dlaczego więc całe dostępne YM jest przechowywane w tym laboratorium?

— Ponieważ właśnie tam ma być obecnie wykorzystywane. Nadal nie rozumie pan zakresu tej operacji, panie Dowland. Jeśli będziemy potrzebować od Najwyższego Rządu więcej YM, to po prostu je sobie weźmiemy. Można to zrobić w każdej chwili. Jedynym sposobem, by Najwyższy Rząd mógł zapobiec przyszłym atakom, byłoby zniszczenie zapasów YM-400. A tego nie zrobi – przynajmniej nie zrobi tego, zanim nie zdobędziemy takiej ilości, jakiej będziemy potrzebować.

Z tego co wiedział, mogła mieć rację, pomyślał sobie Dowland. Spytał ją:

— Załóżmy, że naukowcom Posiadaczy uda się w końcu cofnąć w czasie. Co dzięki temu osiągniecie?

— Wszystko, co chcemy, oczywiście — odparła Jill. — Nie będzie już powodu, aby ukrywać nasze działania – i będziemy mieli czas. Tyle czasu, ile tylko będzie nam potrzebne. Może nawet trzydzieści, czy pięćdziesiąt lat. W przeszłości utworzone zostaną ośrodki naukowe i fabryki automatów, i w końcu fabryki te zaczną produkować broń przewyższającą wszystko, co posiada Najwyższy Rząd. A potem broń ta trafi do teraźniejszości – do tej chwili obecnej, panie Dowland. Za rok od tej chwili Terra będzie silnie uzbrojonym światem – stanie się nim przez jedną noc. Nie będzie już wtedy mowy o zmuszeniu nas do pozostawania pod władzą Najwyższego Rządu. Albo o uczynieniu z Terry kolejnej Planety Otwartej…

Teoretycznie Dowland dostrzegał, że taki plan mógłby się udać. Mając czas na jego realizację i zasoby całej planety do dyspozycji Posiadaczy... i nic nie mogłoby ich powstrzymać od zabrania w przeszłość statków kosmicznych oraz objęcia eksploatacją asteroid. Przez chwilę, gdy Jill Trelawney mówiła, wydawało się to niemal wiarygodne.

Ale tylko przez chwilę. Ona, oczywiście, mówiła prawdę – taką jaką znała. Cokolwiek by to nie było, robili tu coś bardzo niebezpiecznego i nielegalnego, a pomysł podróży w czasie rozpowszechniali wśród pomniejszych członków grupy, aby utrzymać prawdziwy cel w tajemnicy. Zapytał:

— Jak daleko w czasie zamierzają się cofnąć, panno Trelawney?

— Sześćset tysięcy lat. Tamten okres jest uważany za szczególnie odpowiedni do tego, co się planuje.

Sześćset tysięcy lat. Dowland pomyślał sardonicznie, że Posiadacze niczego nie robią na pół gwizdka, nawet jeśli chodzi o rozmiar kłamstw, które rozgłaszają.

— Kiedy dzisiaj wieczorem wzywała mnie pani tutaj machaniem — powiedział, — odniosłem wrażenie, że spodziewała się pani kogoś innego. Czy miałem rację?

— Tak, ale nie wzywałam tu pana, panie Dowland. Próbowałam pana odesłać. Gdyby był pan człowiekiem, o którym myślałam, zrozumiałby pan to… Czy rozważył pan moją sugestię?

— Odnośnie sprzedania się Posiadaczom?

— Jeśli chce pan to tak nazywać.

— Panno Trelawney — oznajmił przyjaźnie Dowland, — gdybym się sprzedał, czy uznałaby pani to za czyn godny podziwu?

Jej policzki zarumieniły się.

— Nie. Oczywiście, byłaby to rzecz godna pogardy.

Dowland skinął głową.

— W tym jednym przynajmniej się zgadzamy. A teraz proszę mi powiedzieć, kim był ten człowiek, którego się pani spodziewała i dlaczego oczekiwała pani jego przybycia?

Usta dziewczyny na chwilę wykrzywiły się niechętnie, potem znów padły z nich słowa.

— Carter ma przysłać na ranczo człowieka z pewnym sprzętem. Sprzęt albo został rozładowany w porcie kosmicznym Columbia dzisiaj po południu, albo zostanie rozładowany jutro wcześnie rano. Myślałam, że to pan jest tym posłańcem. Obce samochody sieciowe nie przelatują przez tę okolicę częściej niż raz na kilka tygodni. Gdyby pan był tym człowiekiem, to zanim bym pana zobaczyła, próbowałby się pan już połączyć z naszym domowym komunikatorem…

— Żeby upewnić się, że okolica jest czysta, zanim pojawię się z dziwnie wyglądającym wyposażeniem.

— Tak. Następnie poinformowałby pan Cartera, że nie otrzymuje odpowiedzi, co spowodowałoby natychmiastowe wszczęcie dochodzenia. Próbowałem ostrzec posłańca, że nie powinien się tutaj zbliżać, że coś jest bardzo poważnie nie tak.

Dowland zastanowił się, a potem skinął głową.

— To by się udało – gdybym to ja był tym człowiekiem. A teraz okazuje się, iż dobrze się stało, że o to panią spytałem, panno Trelawney. Bo posłaniec mógł przybyć dzisiaj wieczorem, nie otrzymać odpowiedzi z rancza, zgłosić ten fakt i odlecieć stąd – czyż nie?

— Tak, mogło się tak wydarzyć. — Jej oczy były wściekle z frustracji.

— I co wtedy zrobiłby Carter?

— Przysłałby tu szybko kilka oddziałów żołnierzy, żeby zbadać sprawę.

— Niski przelot lotem koszącym — przytaknął Dowland — w stylu wojskowym, aby uniknąć wykrycia. Wpadają w obszar awarii zasilania i kilka pierwszych samochodów ulega wypadkowi. Zgłaszają sprawę. Co by się dalej działo, panno Trelawney?

— Niech pana diabli, Dowland. Zrobiliby zwiad wokół Lion Mesa, żeby sprawdzić, jak blisko mogą dotrzeć drogą powietrzną. Carter przerzuciłby w tamto miejsce konie oraz sprzęt do wspinaczki, i ruszyliby w dalszą drogę konno.

Dowland pomyślał, że są też inne metody. Spadochrony, szybowce – mogliby nawet spróbować spaść kilkoma samochodami na mesę, tak jak on to zrobił. Zastanowił się jednak nad tym i w duchu pokręcił przecząco głową. Pomijając już kwestię trudności, żołnierze zostaliby wcześniej ostrzeżeni, aby unikać spektakularnych wyczynów w pobliżu płaskowyżu. Zrobiliby dokładnie tak, jak powiedziała. Była to w pełni skryta forma podejścia, nawet w przypadku dużej grupy ludzi, a i tak szybko dotarliby na miejsce.

Powiedział:

— Załóżmy, że wszystko to się wydarzyło. Żołnierze Cartera są więc w tej chwili w drodze, pędząc konno na złamanie karku. Biorąc pod uwagę wszystkie możliwości, kiedy najwcześniej mogą się tu pojawić?

Odpowiedziała:

— Nie wcześniej niż rankiem.

— Ja szacowałbym, że może to być dwie godziny przed wschodem słońca — powiedział Dowland. — Co mogłoby ich powstrzymać?

— W nocy w żadnym miejscu w pobliżu rancza nie dadzą rady wspiąć się na płaskowyż. Możliwe byłoby zejście, ale nawet to byłoby trudne i niebezpieczne. Poza tym będą mieli ze sobą sprzęt naprawczy, aby naprawić to, co się zepsuło. Będą więc musieli wejść na północny koniec, gdzie nie jest tak stromo.

— A potem — dorzucił Dowland — będą musieli jeszcze przejść na piechotę przez płaskowyż. To ma sens. I oczywiście ten posłaniec może nie dotrzeć tu wcześniej, niż dopiero jutro. Jeśli przybędzie wtedy, to o której godzinie?

Wzruszyła ramionami.

— Przed południem. Godzina nie została określona.

— W każdym razie — podsumował Dowland — chciała pani mnie tu zatrzymać, dopóki nie pojawią się chłopcy Cartera. Potem zorientowała się pani, że muszę być człowiekiem z Najwyższego Rządu, i uznała pani, że byłoby zbyt niebezpieczne pozwolić mi kręcić się po ranczu, do czasu przybycia pomocy.

Jill przytaknęła.

Dowland zastanowił się nad jej słowami.

— Rozumie pani, jak sądzę, że jeśli w ciągu kilku najbliższych godzin nie uda mi się zawiadomić Solar Police Authority, obrażenia Miguela mogą spowodować jego śmierć? Oraz że jeśli uda mi się przekazać informacje, to dziesięć minut później odrzutowiec SPA przewiezie go do najbliższego szpitala?

— Rozumiem dobrze obydwie te rzeczy, panie Dowland — odparła. — Ale wiem też, że Miguel nigdy nie zdecydowałby się na ratowanie swojego życia za cenę ujawnienia naszych planów.

Dowland wzruszył ramionami.

— No cóż, dobrze... Czy wszystko, co wydarzyło się przed moim przybyciem tutaj, wyglądało tak, jak pani to opisała?

— Tak.

— I nie wie pani, w jaki sposób w tej chwili dostać się do tego laboratorium?

— Nie, chyba że znajdzie pan klucz do drzwi.

— Ten klucz powinien znajdować się gdzieś tutaj, na terenie rancza?

— Powinien tu być — odpowiedziała — ale nie udało mi się go znaleźć.

— Nie ma pani innych pomysłów w tej sprawie?

— Żadnych.

Dowland milczał przez chwilę.

— Panno Trelawney, czy jest coś jeszcze, co może mieć znaczenie w naszej sytuacji, a o czym nadal mi pani nie powiedziała?

Jej oczy wpatrywały się w niego chłodno.

— Być może jedna rzecz…

— I co to jest?

— Gdyby zgodził się pan przyjąć łapówkę — oznajmiła Jill Trelawney — powinnam poprosić żołnierzy, żeby pana zastrzelili.

Istniały kobiety, rozmyślał kilka minut później Dowland, które mogły stanowić problem dla każdego mężczyzny. Jednak jeszcze przez wiele godzin ona nie będzie dla niego problemem. Bez oporu połknęła tabletkę nasenną, którą jej podał. Po tym, kiedy narkotyk ze strzałki przestanie działać, tabletka miała zapewnić z jej strony spokój, aż do świtu.

Stał i spoglądał na omiatane wiatrem, ciemne tereny płaskowyżu, wokół rancza. Po niebie przesuwały się ciężkie ławice chmur, ale światło księżyca przebijało się przez nie od czasu do czasu. Warunki nie były złe do poszukiwań, które miał w planach. Gdzieś tutaj musiał być ukryty magazyn, w którym Trelawneyowie trzymali różne rzeczy związane z ich potajemną pracą, których nie chcieli przechowywać w laboratorium. W tym, z dużym prawdopodobieństwem, zapasowe klucze do laboratorium. Można przypuszczać, że żaden z braci nie chciałby, aby Jill przebywała na Lion Mesa, w czasie tego kluczowego i niebezpiecznego etapu projektu. Ale prawdopodobnie byli przyzwyczajeni do tego, że pozwalali swojej pięknej i upartej siostrzenicy aby robiła, co jej się żywnie podoba. Jednak nie musieli jej mówić o takich sprawach, jak ten magazyn. Gdyby tylko udało mu się wyrzucić z głowy myśli o tym, że w odległości mniej więcej stu metrów od niego, przechowywane jest sześćdziesiąt osiem kilogramów YM-400 – z czego nieokreślona ilość znalazła się obecnie w straszliwym stanie radioaktywnym – powinien mieć dosyć duże szanse na znalezienie tego magazynu.

A w takim przypadku półcalowy klucz atomowy, który pokazała mu Jill Trelawney i który w tej chwili obciążał kieszeń jego płaszcza, prawdopodobnie okaże się dokładnie tym, czego potrzebował, by się dostać do środka.

Niecałą godzinę później zlokalizował magazyn. Było to po części kwestią uważnej obserwacji, a po części przypomnienia sobie pewnej uwagi Jill. Budynek, w którym trzymano olbrzymie świnie, sąsiadował z zagrodą o trzykrotnie większych rozmiarach. Korral i budynek były podzielone na dwie części, z których większa mieściła sześć loch. W drugiej znajdował się pojedynczy odyniec. Nad ogromnymi boksami wisiała pajęczyna pomostów. To właśnie ściana między budynkiem a zagrodą zwróciła uwagę Dowlanda, ponieważ z pośpiesznych obliczeń wynikało, że jest ona o jakiś metr grubsza, niż było to konieczne.

Przyniósł z rozbitego samochodu sieciowego tuzin pochodni do oświetlenia obozowiska i rozmieścił je wzdłuż centralnego przejścia w budynku, po czym odłożył dalsze oględziny na czas niezbędny do tego by znaleźć i uruchomić automatyczne mechanizmy karmiące. Gromki jazgot głodnych zwierząt, który przywitał go przy wejściu, ucichł, gdy łapczywie zajęły się jedzeniem, a on mógł im się przyjrzeć. Nie były to groteskowe potworności, jakie spodziewał się zobaczyć, lecz masywne, potężnie umięśnione olbrzymy, szybkie i zwinne jak nosorożce, o piaskowym umaszczeniu i złośliwych, inteligentnych oczkach. Nie ulegało wątpliwości, że stanowiłyby ekscytującą zwierzynę dla każdego, kto lubi odrobinę osobistego ryzyka i smaku niebezpieczeństwa, podczas polowania.

Niebezpieczeństwo było jeszcze bardziej oczywiste w przypadku odyńca. Około ośmiuset funtów przewagi bestii nad przeciętną mieszkanką jego potencjalnego haremu, nie miało może aż takiego znaczenia, w starciu z przeciwnikiem tak słabym fizycznie jak człowiek. Jednak jego nastawienie, już mogło mieć. Lochy wyszły na zewnątrz do zagrody, po tym jak zjadły to, co podrzuciła im maszyna do karmienia. Dzik pozostał, obserwując kątem oka Dowlanda, na pomostach nad sobą. Jego oko nie błyszczało wdzięcznością za nakarmienie. Było czerwone i gniewne. Szczęka pracowała nieprzerwanym przeżuwającym ruchem. Wzdłuż pyska pojawiła się grzywka piany.

Jill Trelawney wspomniała, że nikt poza Miguelem nie może zbliżać się do dzika.

Dowland był w stanie w to uwierzyć. Mała stalowa drabinka prowadziła w dół, od pomostu do boksu odyńca. Dowland sięgnął do kieszeni i wyjął pistolet IPA. Żaden sportsman nie pomyślałby o użyciu go przeciwko zwierzęciu. Ale to nie były zawody sportowe. Zaczął schodzić po drabince.

Dzik stał bez ruchu, obserwując go. Dowland zatrzymał się u podstawy drabinki. Po chwili zrobił krok do przodu. Dzik zawirował wokół własnej osi i z nisko opuszczonym łbem, pomknął z grzmiącym hukiem po podłodze boksu. Broń wydała cichy, głuchy odgłos i Dowland odskoczył na bok. Ogromne cielsko, które uderzyło w znajdującą się za nim ścianę, było

martwe jeszcze przed uderzeniem, prawie pozbawione głowy. Podszedł do grubej ściany oddzielającej chlew od podwórza.

Zamek do magazynu znajdował się po wewnętrznej stronie ściany, ukryty pod deskami, ale nie był zbyt trudny do znalezienia. Dowland włożył w niego klucz, przekręcił go w pozycję otwarte, poczuł lekkie kliknięcie i cofnął się, gdy drzwi zaczęły się uchylać w jego kierunku.

W magazynie znajdowały się wszystkie akcesoria, które spodziewał się tu znaleźć, w tym trzy skafandry antyradiacyjne. Dowland potrzebował dwudziestu minut, aby przekonać się, że jedyną rzeczą, której z całą pewnością nie potrafił odszukać w żaden oczywisty sposób, był klucz do laboratorium. Odpowiednie instrumenty wykrywające mogłyby go gdzieś tutaj odnaleźć, ale on ich nie posiadał.

Fakt ten zbijał nieco z tropu, ponieważ przekreślał nadzieję na znalezienie klucza. Dokładne przeszukanie wszystkich budynków rancza zajęłoby większość nocy, a szansa na znalezienie dzięki temu klucza, byłaby co najwyżej niewielka. Gdziekolwiek się on znajdował, musiał być starannie schowany. Gdyby Miguel odzyskał przytomność, można by wymusić z niego te informacje, ale nie było zbytnio prawdopodobne, by starszy z Trelawneyów kiedykolwiek się ocknął.

Dowland wziął dwa z trzech skafandrów AR, przełożył je sobie przez ramię i stał, wciąż niezdecydowany co robić, zerkając w jedną i w drugą stronę długiej, wąskiej przestrzeni magazynu, na wpół świadomy, że teraz kieruje nim nadzieja, iż jakaś magiczna intuicja wskaże mu w ostatniej chwili lokalizację klucza. Gdyby udało mu się dostać do laboratorium, był prawie pewien, że zdoła rozgryźć mechanizmy, które kierowały przemianą YM w promieniowanie i je wyłączyć. W końcu maszyna, to maszyna. Po tej operacji, po wyeliminowaniu zakłóceń YM, sieć energetyczna powinna stać się znowu dostępna, i…

Dowland ponownie rzucił okiem na zegarek i pokręcił głową. Nie ma sensu się nad tym zastanawiać – nie mógł dostać się do laboratorium. Półtorej godziny stracone bez celu. Poszukiwanie klucza wydawało się dobrym posunięciem, najszybszą, a co za tym idzie najmniej niebezpieczną metodą rozwiązania całego tego problemu. Nie udało się jednak; pozostało więc tylko zejść z Lion Mesa i wyruszyć w wędrówkę przez pustynię. Przy odrobinie szczęścia, około wschodu słońca komunikator znów zacznie otrzymywać zasilanie z sieci – o ile YM nie rozpocznie wcześniej kolejnych serii nieprzewidywalnych i o wiele bardziej katastrofalnych „zjawisk". Dostępne informacje, choć niezadowalająco ogólnikowe, wskazywały, że to co tutaj ma miejsce, odbywa się na razie na bardzo łagodnym poziomie. Trelawneyowie, pomimo swego przekonania, że Najwyższy Rząd blefuje, że YM jest nieszkodliwe, jeśli się z nim odpowiednio obchodzić, mogli mieć na tyle rozsądku, żeby na początku pracować z jak najmniejszymi ilościami tej substancji.

Zostawił drzwi do magazynu otwarte, zgasił żarzące się na biało pochodnie kampingowe i zabrał je ze sobą do domu, razem z skafandrami

AR. W salonie zrobiło się już niemal zupełnie ciemno. Wujek i siostrzenica byli tam, gdzie ich zostawił. Dowland przez minutę lub dwie pracował nad opuszczeniem automatycznych okiennic nad pojedynczym szerokim oknem; opadły one na miejsce z nagłym łoskotem, który wstrząsnął pokojem, ale nie obudził Trelawneyów. Ponownie zapalił jedną z pochodni i wrzucił ją do kominka. Pokój wypełnił się czystym światłem.

Resztę pochodni odstawił pod ścianę, a skafandry AR powiesił na oparciu krzesła. Rozważał wsadzenie w nie Trelawneyów jako zabezpieczenie ich przed tym, co mogło się wydarzyć przed zakończeniem sprawy, ale ponownie porzucił ten pomysł. Byłaby to wątpliwa ochrona. Pole antyradiacyjne utrzymywało się automatycznie, kiedy skafander był założony, i utrudniało oddychanie na tyle, że zdarzało się, iż nieprzytomny użytkownik po prostu się dusił. Jill zobaczy skafandry natychmiast po przebudzeniu się i będzie mogła na własną rękę podjąć decyzję co do nich.

Dowland wracał z samochodu z uprzężą alpinistyczną i przenośnym komunikatorem, kiedy świnie znów podniosły jazgot. Zatrzymał się, zaskoczony. Tym razem hałas był dziwny i niepokojący – jeszcze bardziej przeszywający niż poprzednio – i, o ile się nie mylił, te ogromne zwierzęta z jakiegoś powodu wpadły w nagłą panikę. Potem usłyszał, jak walą o ściany zagrody, najwyraźniej próbując się z niej wydostać. Serce zaczęło mu walić z instynktownego niepokoju. Czy powinien zejść w dół płaskowyżu i zbadać sprawę? Zanim zdążył podjąć decyzję, usłyszał inny dźwięk, przebijający się przez hałas dzików, który stopniowo narastał, by niemal dorównać głośnością tym niesamowitym wrzaskom. Przez chwilę coś zdawało się odcinać Dowlandowi możliwość słuchania dudnienia i ryku pędzącej, burzliwej masy wody – a jego uszy mówiły mu, że przechodzi ona tuż pod nim.

Minęły prawie dwie minuty, zanim Dowland znowu zaczął jasno myśleć. Dotarł do domu uciekając na oślep – w bezsensownej w tych okolicznościach reakcji ucieczki, niezbyt odległej od zupełnej paniki. W ciemnościach na zewnątrz, cały płaskowyż zdawał się kołysać i przechylać, zdradliwie tańcząc w rytm niesamowitego huku rzeki, która przetaczała się przez dawno już minioną przeszłość. Na te kilka sekund, Dowlanda opuściły wszelkie myśli o kwestionowaniu opowieści Jill Trelawney o maszynie, która powodowała przesunięcia w czasie. Jego zmysły zdawały się mieć tyle dowodów na jej poparcie, ile tylko można było wymagać.

Po powrocie do domu, mimo że huczące zaburzenia nie ustały, przekonanie to jednak szybko zniknęło. Kiedy zamykało się oczy, to natychmiast odnosiło się wrażenie, jakby człowiek znajdował się na niestabilnym moście, nad wirami jakiegoś ogromnego nurtu. Wystarczyło jednak otworzyć je ponownie i powiedzieć sobie, że YM-400 ma reputację generowania dziwnych zjawisk – a ten konkretny efekt nie powinien być specjalnie szkodliwy, skoro Jill mówiła, że wystąpił on już trzy razy w ciągu poprzedniego dnia. Określenie czegoś takiego, że to tylko odgłos „rzeki płynącej pod domem”, wydawało się bliskie skandalicznemu

niedomówieniu; ale Jill Trelawney po raz kolejny okazała się być niezwykłą młodą osobą.

Ona i jej wuj nawet się nie poruszyli, ale Dowland wiedział, że ich obecność w pokoju uspokajała go. Wiedział też, że cokolwiek się stanie, nie może pozwolić, by ponownie ogarnął go ślepy strach. Sytuacja była już i tak wystarczająco niebezpieczna. Jeśli dopuści, by zawładnęły nim nerwy, nie będzie wtedy w stanie podjąć żadnych skutecznych działań.

Celowo podszedł do uprzęży alpinistycznej, którą upuścił, wbiegając do oświetlonego pomieszczenia, i zaczął przeglądać ekwipunek. Zamierzał zabrać ze sobą tylko komunikator, pistolet IPA, manierkę z wodą i małą latarkę, a uprząż i jej akcesoria porzucić u podnóża mesa. W samochodzie były jeszcze dwa karabiny myśliwskie, o znacznie większym zasięgu niż pistolet, ale karabin spowolniłby go i nie zrobiłby wielkiej różnicy, gdyby miał pecha wpaść na żołnierzy Cartera na pustyni.

Ku jego zaskoczeniu, zanim skończył przegląd ekwipunku, podziemny tumult wydawał się zaczynać słabnąć. Dowland stanął bez ruchu, żeby posłuchać, i po kilku sekundach nie miał już wątpliwości, co do tego. Jill mówiła, że przy poprzednich okazjach za każdym razem trwało to pół godziny, ale zegarek Dowlanda twierdził, że obecne zaburzenia ustępowały znacznie szybciej, po mniej niż dziesięciu minutach. Zanim wstał, zapiął uprząż i ruchami ramion rozmieścił ją w odpowiedniej pozycji, były już prawie niesłyszalne.

Może to był dobry znak, a może zły, a może nie miało to żadnego znaczenia. Nie mógł tego wiedzieć i prawdopodobnie lepiej będzie, jeśli nie zacznie się nad tym zbytnio zastanawiać. Odwrócił się, by po raz ostatni przed wyjściem obrzucić wzrokiem pokój, i odkrył, że Miguel Trelawney otworzył oczy i patrzy na niego.

Dowland stał przez chwilę nieruchomo jak skała, ledwo śmiejąc wierzyć w to co się stało. Potem, w milczeniu, ponownie rozpiął uprząż i opuścił ją na podłogę. Oczy wielkiego mężczyzny na kanapie zdawały się podążać za tym ruchem, po czym przesunęły się powoli ku sufitowi pokoju i znowu zamknęły.

— Trelawney — powiedział Dowland delikatnie, nie ruszając się z miejsca.

Miguel Trelawney wydał z siebie głębokie westchnienie, przekręcił się na bok i leżał bez ruchu, plecami do Dowlanda. Kilka sekund później Dowland patrzył już na niego z drugiej strony kanapy.

To mogła być tylko chwila, przejściowy sukces, jaki zyskał lekarz w swojej niewidocznej walce z procesem, który i tak mógł się zakończyć śmiercią. Jednak nie potrafił tego przewidzieć. Oczy Trelawneya pozostawały zamknięte, jego puls był słaby i niepewny. Dowland pomyślał o wstrzyknięciu mu środka pobudzającego, ale natychmiast odrzucił ten pomysł. Lekarz wytwarzał własne środki stymulujące, zależnie od potrzeb, zaś przeciwdziałał działaniu wszelkich innych. Nawet efekty narkotyku prawdy byłyby przez niego osłabione, ale nie na tyle, żeby Dowland nie

mógł uzyskać odpowiedzi, których potrzebował – pod warunkiem, że umysł Trelawneya rozjaśniłby się chociażby tylko na trzy lub cztery minuty przytomności.

Nie było wiadomo, kiedy taki okres przytomności może mieć miejsce. Ale teraz, kiedy wydawało się, że ten człowiek zaczyna się budzić, możliwość, że nastąpi to w ciągu najbliższej godziny lub dwóch, stała się bardzo prawdopodobna.

Dowland stał przez chwilę zamyślony, nie mogąc się zdecydować. W ciągu godziny lub dwóch mógł też zejść prawie na sam dół ściany płaskowyżu, w zależności od trudności zejścia ... ale w obecnej sytuacji nie można było dokonać obiektywnego wyboru. Tak czy inaczej istniało olbrzymie ryzyko. Jeśli Trelawney się nie obudzi, pozostanie ten poprzedni czynnik ryzyka… Na jak długą zwłokę mógł sobie pozwolić?

Pomijając YM, bo tego nie dało się skalkulować, należało wziąć pod uwagę jedynie przybycie oddziałów żołnierzy Posiadaczy. Nie było możliwości, by jakakolwiek większa ich grupa pojawiła się przed świtem, ale istniały już pewne szanse, że pojawią się mniej więcej o tej porze. Kiedy tutaj dotrą, musi albo być w kontakcie z Solar Police Authority, albo znaleźć się na tyle daleko od Lion Mesa, by nie zostać wykrytym…

Cztery godziny powinny wystarczyć, aby zapewnić mu rozsądny margines bezpieczeństwa. Miał więc czas do północy, albo nawet odrobinę dłużej.

Dowland przysunął krzesło do leżanki i usiadł na nim. Noc nie była cicha.

Świnie od czasu do czasu kwiczały, a wiatr wciąż się wzmagał. Mimo wysiłków, aby unikać niepokojących myśli, koszmarny stan sytuacji na mesie wciąż powracał i nie dawał się łatwo wypchnąć z głowy. Przeszłość – przeszłość sprzed ponad pół miliona lat – zbliżyła się dzisiejszej nocy do teraźniejszości… To było uporczywe, nielogiczne uczucie – przesiąknięte strachem – którego nie potrafił się pozbyć.

Pół godziny później Miguel Trelawney zaczął niespokojnie oddychać, potem poruszył się, ale po upływie kilku sekund znów zapadł w nieruchomą nieświadomość.

Dowland wznowił swoje oczekiwanie.

Zegarek wskazał mu właśnie, że jest krótko przed jedenastą trzydzieści, kiedy usłyszał strzały. Były to trzy strzały – wyraźne, rozłożone w krótkich odstępach czasu odgłosy trzasku, dochodzące ze znacznej odległości. Dowland zerwał się ze swojego krzesła, jednocześnie z drugim z nich, był już w połowie drogi przez ciemny hol wejściowy, kiedy usłyszał trzeci. Otworzył drzwi na końcu korytarza jedynie na tyle szeroko, aby się przez nie prześlizgnąć, szybko znalazł się na dworze i zamknął je za sobą, by blask światła z salonu nie wydostał się na zewnątrz.

Gdy drzwi się zatrzasnęły, rozległy się kolejne trzy strzały. Karabin myśliwski. Być może dwie mile na północ…

Dowland stał wpatrzony w smaganą wiatrem linię lasu powyżej terenu rancza. Kto mógł być w górze płaskowyżu i skąd ta strzelanina? Czy żołnierzom udało się tam wprowadzić kilku ludzi drogą powietrzną? Do czego mogliby strzelać?

Strzały sygnałowe, pomyślał po chwili. A w takim razie to jakiś sygnał dla ludzi na ranczu... Sygnał czego?

W tym momencie do głowy przyszła mu kolejna myśl, tak gwałtownie i przekonująco, że aż przeszedł go dreszcz.

Doktor Paul Trelawney...

Paula Trelawneya, nie było w budynku laboratorium – jak przypuszczała Jill. Udał się gdzieś indziej, a teraz wrócił. I, podobnie jak jego brat, wrócił do innego punktu niż ten, z którego wyruszył.

Człowiek wyczerpany i niepewny, gdzie się znalazł na wielkim płaskowyżu, człowiek ranny – a może osłabiony chorobą popromienną – taki człowiek wystrzeliłby w nocy z karabinu, żeby zwrócić na siebie uwagę. Aby sprowadzić pomoc.

Kilka minut później Dowland zmierzał już w kierunku, z którego padły strzały, mając przy sobie jeden z własnych karabinów oraz policyjny pistolet. Było bardzo mało prawdopodobne, że uda mu się podejść do Trelawneya – jeśli to był Trelawney – na tak niewielką odległość, by tamten usłyszał odgłosy jego zbliżania, ale gdy tylko dotrze mniej więcej w miejsce, z którego padły strzały, wystrzeli z karabinu i poczeka na odpowiedź. W lesie wiatr był gwałtowny i hałaśliwy, a droga tak trudna, jak przypuszczał. Światło księżyca od czasu do czasu tylko padało na otwarte skaliste połacie i znikało, kiedy nad głową przesuwały się chmury. Wśród drzew ledwie widział drogę i musiał iść coraz wolniej.

Doszedł wkrótce do szerokiego, gładkiego garbu skalnego, wyłaniającego się z lasu, i zatrzymał się by sprawdzić godzinę. Minęło dwadzieścia pięć minut, odkąd opuścił teren rancza. Jeśli dobrze obliczył, strzały powinny paść mniej więcej z tego miejsca. Wyszedł nieco ostrożnie na otwarty teren – człowiek czekający na pomoc wybrałby punkt, w którym łatwo mógłby zostać zauważony, i takie właśnie miejsce powinien sobie znaleźć Paul Trelawney. Ale Trelawney, uzbrojony w karabin, mógłby zareagować dosyć gwałtownie, gdyby zobaczył, że zbliża się ktoś obcy.

Jednak grzbiet był pusty w księżycowym świetle, rozciągając się na ponad sto jardów w prawo i w lewo. Dowland dotarł na jego szczyt, ruszył dalej kryjąc się wśród drzew po północnej stronie i tam znów się zatrzymał.

Stopniowo i z niepokojem coraz bardziej czuł, że coś tu jest nie tak. Stał, nasłuchując, nie potrafiąc dokładnie określić, co go tak niepokoi; wtedy świeży podmuch wiatru targnął gałęziami wokół niego, i w tym wietrze pojawiło się coś niewłaściwego – mieszał się z nim zapach, co prawda znany, ale zupełnie nie na miejscu w wiecznie zielonym lesie, na tej skalnej półce. Był to powiew ciepłej ciemności, gnijącej, miękkiej roślinności – z bagna lub koryta rzeki. Dowlandowi przyspieszył oddech.

Potem zapach ponownie ulotnił się z powietrza. Po kilku sekundach pomyślał, że mogła to być jakaś jego osobista halucynacja, fałszywy sygnał z nerwów, nadpobudliwych po wydarzeniach dzisiejszej nocy. Ale jeśli Paul Trelawney powrócił w to miejsce z odległych czasów, droga, którą przybył, mogła być nadal otwarta. I to niedaleko stąd. To była bardzo nieprzyjemna myśl. Dowland znów zaczął iść naprzód, ale teraz powoli i z wahaniem.

Pomyślał, że jeszcze pięć minut. Po upływie tego czasu na pewno pokona już odległość, z której wiatr przeniósł wystrzał z karabinu – a prawdę mówiąc, powinien znajdować się już nieco na północ na mesie, od Trelawneya. Jeśli do tego czasu nic się nie wydarzy, sam odda strzał.

Po pięciu minutach dotarł na kolejny fragment otwartego terenu, bardziej ograniczony niż poprzedni. Znowu występ zwietrzałej skały wyłaniał się spośród drzew – Dowland wspiął się po stromym zboczu na jego szczyt i stanął, rozglądając się dookoła. Po kilku sekundach nagle pojął, że zwleka z oddaniem strzału z powodu niechęci do ujawnienia swojej obecności w tym lesie. Gwałtownym, gniewnym ruchem uniósł lufę, kierując ją ponad drzewa na północy, i pociągnął za spust.

Znajomy huk wydawał się zaskakująco głośny. Chwilę później w lesie przed nim rozległa się seria niepokojących odgłosów. Najwyraźniej wystrzałem zostało zaalarmowane jakieś duże zwierzę. Usłyszał, że oddaliło się ono na kilkaset metrów, a potem zapadła cisza, jakby zatrzymało się, aby nasłuchiwać. A potem rozległ się kolejny dźwięk, głęboki, długi wrzask, który przyprawił go o dreszcz. Skończył się, a następną rzeczą, która przykuła jego uwagę, był przelotny widok kątem oka, czegoś poruszającego się, po lewej stronie, tuż nad lasem. Jego głowa i oczy szybko zwróciły się w tym kierunku, i dostrzegł wielkie, cieniste stworzenie, które szybowało ponad wierzchołkami drzew. Zniknęło niemal natychmiast za kolejnym wzniesieniem terenu.

Dowland nadal wypatrywał tego czegoś, a jego umysł poruszał się ospale, jakby nie chciał przyznać, że to co przed chwilą widział, nie było żadnym, znanym mu wcześniej stworzeniem. Wtedy nagle dotarło do niego, że Trelawney nie odpowiedział jeszcze na jego strzał sygnalizacyjny. I niemalże jednocześnie z tą myślą uświadomił sobie, że w lesie na wprost przed nim, znów podniósł się jakiś hałas.

Był on znacznie mniej głośny niż poprzednie. Przez chwilę Dowland nawet myślał, że to tylko sprawka wiatru. Jednak odgłosy nie ustawały, a po kilku sekundach stało się jasne, że coś – coś, co wydawało się bardzo duże – porusza się wśród drzew i zbliża do otwartej przestrzeni. W tym czasie było już niezbyt daleko od niego.

Dowland odwrócił się, jego usta pracowały bezgłośnie, i zsunął się po południowej stronie wielkiego skalnego garbu, robiąc tylko tyle hałasu, ile musiał. Po drugiej stronie skały, drzewa już się trzęsły. Schylił się, przykucnął, wcisnął się w gęstą masę gałęzi jałowca, przepchnął się przez nie i szybko, po cichu, przedostał się głębiej między drzewa. Ten nowy

stwór, czymkolwiek by on nie był, musiał również usłyszeć wystrzał. Może tylko sprawdzi co się dzieje, kiedy dotrze do otwartej przestrzeni, a gdy nie znajdzie niczego, co mogłoby wzbudzić jego dalszą ciekawość, ruszy z powrotem.

Tak się jednak nie stało. Zerkając za siebie przez drzewa, Dowland dostrzegł niewyraźny widok czegoś bardzo wysokiego, zbliżającego się szybko do skalnego występu. Odwrócił się, pomknął pod gałęziami, a chwilę później w miejscu, w którym opuścił otwartą przestrzeń, rozległ się potężny trzask. Coś podążało za nim w dół płaskowyżu, w głąb lasu.

Dowland odwrócił się ponownie, ciężko dysząc, upuścił karabin i wyciągnął z kieszeni pistolet IPA. Zarośla rozdzieliły się, i przeszedł przez nie jakiś wielki kształt. Oddał w niego trzy strzały, doznał wrażenia, jakby ktoś walnął go żelaznym łomem w głowę i poczuł, że leci do przodu. Stracił przytomność, zanim uderzył o ziemię.

Kiedy otworzył oczy, jego pierwszą myślą było, że powinna go potężnie boleć głowa. Nie czuł jednak żadnego bólu. Leżał twarzą w dół na wilgotnym leśnym mchu. Wokół panowało bardzo słabe światło przedświtu. Musiało więc minąć kilka godzin, odkąd…

Dowland zesztywniał na chwilę, po czym bardzo powoli odwrócił głowę, rozglądając się dookoła. Po chwili cicho podniósł się na czworaka. Drzewa przed nim poruszały się niespokojnie na wietrze. Dalej dostrzegł część garbu skalnego, na którym stanął i oddał strzał, który miał zwrócić uwagę Trelawneya. Pomiędzy nim i występem skalnym, ziemia wyglądała tak, jakby przez las przejechał czołg. Ale nie było widać by leżało tam jakieś olbrzymie ciało.

A więc trzy jego strzały nie powaliły zwierzęcia na ziemię. Odeszło – po tym, jak… a co ono mu właściwie zrobiło?

Dowland zobaczył leżący obok niego pistolet IPA, podniósł go i powoli stanął na nogi. Eksperymentalnie przejechał ręką po głowie. Żadnych złamań, nawet uczucia bólu… Przysiągłby, że łupnięcie, które poczuł, rozwaliło mu czaszkę. Rozejrzał się w poszukiwaniu karabinu, zobaczył go, podniósł i poszedł w miejsce, gdzie leżały porozrzucane drzewa.

Był tam ślad – bardzo nieprawdopodobny ślad. Badał go, zastanawiając się i marszcząc czoło. Nie był to trop zwierzęcia. Gdyby był bardziej regularny, mógłby być pozostawiony przez maszynę poruszającą się na bardzo szerokim, gładkim walcu. Nic nie wskazywało na istnienie czegokolwiek w rodzaju bieżnika. Wszystko, co potrafił w tej chwili powiedzieć, to tylko, że coś bardzo masywnego wygniotło ten pas – o szerokości w przybliżeniu od ośmiu do czternastu stóp – przez las do tego miejsca, a następnie wycofało się z powrotem wzdłuż linii mniej więcej równoległej do tej, po której przybyło… Dowland dodał w myśli: I może powiedzieć o tym czymś jeszcze jedną rzecz. Ten sam ogromny stwór potrafił znokautować człowieka na wiele godzin, nie pozostawiając żadnych widocznych obrażeń ani śladów sposobu, w jaki został on ogłuszony.

To ostatnie wskazywało coraz bardziej na maszynę; maszynę uzbrojoną w jakąś tajemniczą broń. Kiedy w nocy jego strzał poderwał w powietrze wielkiego latającego stwora, był niemal przekonany, że w górze płaskowyżu grasuje jakiś potwór z odległej przeszłości. Te dwie rzeczy do siebie nie pasowały.

Dowland pokręcił głową. Pomyśli o tym, kiedy będzie miał więcej czasu. Stracił – spojrzał na zegarek – nieco mniej niż cztery godziny. W ciągu czterech godzin na terenie rancza mogło wydarzyć się wiele rzeczy, z których tylko jedna, częściowo atrakcyjna możliwość, wiązała się z tym, że ktoś dostał się do laboratorium i odciął dopływ YM.

Ruszył ostrożnym truchtem w drogę powrotną. Z górki, przy stopniowo nasilającym się świetle dnia, pokonywanie terenu było znacznie mniejszym problemem niż w nocy. Wiatr nie słabł; nadal zawiewał w gwałtownych, urywanych porywach, które wyginały drzewa. Od czasu do czasu niósł on ze sobą chmury pyłu, sugerując, że powietrze nad pustynią również było gwałtownie wzburzone. Dowland pomyślał, że to pewnie YM zakłóca warunki atmosferyczne na obszarze swojej aktywności. W przeciwnym razie, jeśli w lesie wokół niego działo się coś nienormalnego, nie było żadnych możliwych do wykrycia oznak tego czegoś.

Po chwili wydostał się na grzbiet, z którego widać było już teren rancza. Znajdowało się ono około jednej trzeciej mili przed nim. W słabym świetle, wszystko wydawało się w porządku. Dowland zwolnił do tempa marszu.

Mógł kierować się prosto w zasadzkę, tam w dole. Jill Trelawney, co prawda powinna co najwyżej dopiero zaczynać budzić się ze snu wywołanego przez narkotyki i przez następną godzinę lub nawet dłużej będzie za bardzo zdezorientowana i oszołomiona, by stanowić jakiś problem. Ale na ranczu mogli być już i inni: Paul Trelawney albo grupa żołnierzy Cartera. I niezależnie od tego, czy Jill będzie w stanie zdać im jakiś spójny raport, czy nie, każdy ze konspirujących Posiadaczy bardzo szybko zorientuje się, że był tam przed nim ktoś, kto nie należy do ich grupy; będą więc oczekiwać jego powrotu i mieć się na baczności. Dowland zrezygnował z podążania dalej po linii prostej, i skierował się na wschód, poruszając się ze znacznie większą ostrożnością. Po tamtej stronie las rósł najbliżej zabudowań rancza, a on sam zauważył podobną do żywopłotu gęstwinę wiecznie zielonych drzew, tuż na północ od oczyszczonego obszaru. Stamtąd będzie mógł wstępnie sprawdzić teren.

Znajdował się w odległości stu pięćdziesięciu stóp od tego miejsca, gdy odkrył, jak bardzo rozsądny był pomysł wstępnego sprawdzenia. Pod osłoną wiecznie zielonych drzew, tych samych o których myślał Dowland, leżał człowiek, z uniesioną głową badając teren rancza. Miał na sobie skafander antyradiacyjny, takiego samego typu jak te, które Dowland znalazł w magazynie; obok niego leżał ciężki karabin. Jego twarz widoczna była z profilu. Była brudna od potu i pyłu, które zatrzymało pole AR, ale Dowland natychmiast rozpoznał jej śmiałe, kościste rysy.

W końcu znalazł doktora Paula Trelawneya.

Dowland potrzebował ponad ośmiu minut, aby pokonać pozostałą odległość między nimi. Skradanie się przyniosło jednak bardzo zadowalające rezultaty. Znalazł się w odległości metra od Trelawneya, zanim ten zorientował się w jego obecności. Chwilę później w kręgosłup mężczyzny wbił się pistolet IPA.

— Proszę bez hałasów — powiedział łagodnie Dowland. — Dłużej pan pożyje. Chociaż być może będę musiał pana jednak zabić.

Paul Trelawney milczał przez chwilę. Kiedy się odezwał, jego głos był wyraźnie zszokowany.

— Kim pan jest, do diabła?

— Solar Police Authority — oznajmił Dowland. — Wie pan, dlaczego tu jestem.

Trelawney chrząknął. Dowland mówił dalej:

— Dlaczego pan się ukrywa?

— A jak pan myśli, dlaczego? — zapytał z irytacją Trelawney. — Zanim tam wyjdę, próbowałem ustalić miejsce pobytu człowieka, który w nocy strzelał z karabinu w odległości pół mili ode mnie.

A więc podkradali się do siebie nawzajem. Dowland spytał:

— A dlaczego tą osobą nie mógł być pański brat lub siostrzenica?

— Ponieważ znam dźwięk naszych karabinów.

— Mój błąd… Czy ma pan przy sobie pistolet lub inną broń?

— Nóż.

— Proszę mi go oddać.

Trelawney sięgnął pod klatkę piersiową, wydobył spod niej nóż w pochwie i podał go do tyłu Dowlandowi. Dowland rzucił go w krzaki kilka metrów dalej, odsunął się trochę.

— A teraz proszę podnieść się na czworaka — powiedział, — upewnimy się, że to wszystko.

Uważnie go przeszukał. Trelawney wydawał się w tej chwili zachowywać dosyć pasywnie, ale nie był człowiekiem, z którym można by było ryzykować. Okazało się, że skafander AR skrywał wbudowany dwukierunkowy komunikator oraz tyle urządzeń testujących i sprawdzających, co ekwipunek górnika z asteroid, ale żadnej broni. W zapinanej kieszeni, najwyraźniej do tego przeznaczonej, znajdował się pięciocalowy klucz atomowy. Dowland wyciągnął ciężki dysk palcami, które nagle zaczęły lekko drżeć.

— Czy on otwiera wasze laboratorium?

— Tak.

Dowland odłączył jednostkę nadawczą komunikatora i wrzucił ją do kieszeni wraz z kluczem do laboratorium.

— No dobrze — powiedział, — niech pan odwróci się i usiądzie. — Poczekał, aż Trelawney odwróci się w jego stronę, po czym kontynuował. — Jak długo obserwował pan ranczo?

— Około godziny.

— Widział pan kogoś… lub coś?

Trelawney spojrzał na niego pytająco, a potem pokręcił przecząco głową.

— Ani żywego ducha.

— Nie będę teraz tracił czasu na zbyt wiele pytań — stwierdził Dowland. — Laboratorium jest zamknięte, a maszyna, którą pan tam uruchomił, najwyraźniej nadal działa. Pański brat został znaleziony wczoraj rano poza laboratorium i może być martwy lub umierać z powodu wewnętrznych poparzeń popromiennych. Kiedy zostawiałem jego i pannę Trelawney, w domu zeszłej nocy, żeby pana poszukać. Był żywy i nie wyglądał najgorzej. Musiałam odurzyć narkotykami pannę Trelawney – nie jest zbyt chętna do współpracy. Powinna ciągle jeszcze spać. A teraz, proszę mi powiedzieć, gdybym się tu nie pojawił, co miał pan zamiar zrobić?

— Miałem zamiar zatrzymać maszynę, oczywiście — odparł Trelawney. Wyraz jego twarzy nie zmienił się, w trakcie gdy Dowland mówił. — Najlepiej bez angażowania w nasze działania Solar Police Authority. Ponieważ jednak sam pan się w to zaangażował, proponuję, abyśmy natychmiast udali się do laboratorium i wspólnie zajęli się tą sprawą.

Dowland przytaknął.

— Właśnie także o tym myślałem, panie Trelawney. Oczywiście z technicznego punktu widzenia jest pan aresztowany i zrobi pan tam wszystko, co będzie trzeba, pozostając na muszce mojego pistoletu. Czy w trakcie operacji napotkamy jakieś trudności?

— Bardzo prawdopodobne, że tak będzie — stwierdził Trelawney z namysłem — i równie prawdopodobne jest to, że nie będziemy wiedzieć na czym one polegają, zanim ich nie napotkamy.

Dowland wstał.

— W takim razie — powiedział — chodźmy. Po drodze zatrzymamy się w domu. Chcę się upewnić, że panna Trelawney nie będzie w stanie zrobić czegoś głupiego.

Opróżnił magazynek w karabinie Trelawneya, zanim mu go podał. Zaczęli schodzić w stronę domu, Trelawney na czele, a Dowland trzymał w ręku pistolet IPA.

Drzwi domu były zamknięte. Trelawney spojrzał pytająco za siebie. Dowland powiedział przyciszonym głosem:

— Nie są zamknięte na klucz. Proszę je otworzyć, wejść do środka i zatrzymać się dwa kroki w głębi korytarza. Ja będę za panem. Oboje są w salonie.

Wszedł za Trelawneyem, sięgając do tyłu, by ponownie zamknąć drzwi. Rozległ się cichutki szmer. Dowland na wpół się odwrócił i z niedowierzaniem poczuł, że coś twardego uderza boleśnie w jego kręgosłup. Stanął bez ruchu.

— Rzuć broń, Dowland.

Jill Trelawney stała za nim. Jej głos brzmiał tak czysto i niezmącenie, jakby nie spała od wielu godzin. Dowland przeklął się w duchu. Musiała wyjść zza rogu domu, gdy tylko weszli do środka.

— Mój pistolet jest wycelowany w plecy pani wuja — oznajmił. — Proszę nie robić nic, co mogłoby mnie zdenerwować, panno Trelawney.

— Nie próbuj blefować Jill, przyjacielu — poradził mu Paul Trelawney, nie odwracając głowy. W głosie mężczyzny słychać było suche rozbawienie. — Nikt jeszcze nie zdołał tego zrobić. A ona może dojść do wniosku, że przehandlowanie wujka za szpiega SPA sprawi, że na tym etapie, Terra nadal będzie na plusie. Ale to nie powinno być konieczne. Jill?

— Tak, Paul?

— Daj naszemu policjantowi chwilę na zebranie myśli… To wszystko stawia go przecież w bardzo kłopotliwej sytuacji. A ja chciałbym skorzystać z jego pomocy w laboratorium.

— Daję ci dokładnie trzy sekundy, Dowland — oznajmiła Jill. — I lepiej uwierz, że to nie jest blef. Jeden…

Dowland rzucił broń.

Oboje Trelawneyowie prowadzili w salonie krótką, rozmowę szeptem. Dowland, znajdujący się po drugiej stronie pokoju i będący przez cały czas na muszce dwóch pistoletów, nie potrafił z niej zbyt wiele wyłowić.

Jill ubrana była w jeden ze skafandrów antyradiacyjnych, które przyniósł z magazynu. Miguel nie żył. Kiedy się obudziła, był ciągle nieprzytomny, a kilka minut później przestał oddychać. Lekarz zrobił wszystko co mógł, ale w tym przypadku to po prostu nie wystarczyło. Jill znalazła jednak dla niego inne zastosowanie. Dowland pomyślał, że w podobnych okolicznościach nikomu innemu nie przyszłoby to do głowy, ale i tak powinien był o tym pomyśleć, kiedy wychodził z domu. Gdy zaczęła otrząsać się ze snu, przypomniała sobie, co Dowland powiedział jej o leku, i w jakiś sposób udało jej się wstrzyknąć sobie w ramię całą ampułkę. W ciągu kilku minut obudziło ją to całkowicie.

Szeptana rozmowa dobiegła końca. Dziewczyna wyglądała teraz raczej na bladą i wystraszoną. Twarz Paula Trelawneya, który podszedł do Dowlanda, pozbawiona była wyrazu. Jill wsunęła pistolet, który wcześniej użyła przeciwko Dowlandowi, za pasek, wzięła karabin myśliwski Paula, trzymała go w rękach i stała, czekając.

— Oto jak zrobimy, Dowland — oznajmił Trelawney. — Jill pójdzie z nami do laboratorium, ale zostanie na zewnątrz na warcie. Będzie pilnować…

— Czy powiedziałeś jej — przerwał mu Dowland, — żeby uważała na coś o wysokości dwa razy większej niż ten dom?

Trelawney patrzył na niego przez chwilę.

— A więc natknąłeś się na to — powiedział. — Zastanawiałem się. To bardzo ciekawe, że… no cóż, jedna rzecz na raz. Tak się składa, że ostrzegłem ją przed tym. A teraz podejdź do stołu.

Dowland stał przy stole, podczas gdy siedzący po jego drugiej stronie Trelawney szybko naszkicował na kartce papieru dwa schematy. Pistolet IPA leżał na stole w pobliżu prawej ręki Trelawneya. Może byłaby jakaś

szansa na dotarcie do niego, gdyby udało mu się zmylić czujność Jill. Dowland jednak uznał, że nie było takiej możliwości. Widział, że przeładowała trzymany w ręku karabin. Pozostał na swoim miejscu.

Trelawney podsunął mu papier.

— Oba schematy przedstawiają naszą maszynę — wyjaśnił — i powinny dać ci ogólne pojęcie odnośnie tego, co zobaczysz. To koło, tutaj, znajduje się na drugiej stronie konsoli, patrząc od drzwi przez które wejdziemy. Koło jest regulatorem przepływu – rzecz, którą koniecznie musisz sobie zapamiętać. Znajdują się na nim oznaczenia poziomu. Główne oznaczenia to liczby od 1 do 5. Wczoraj rano regulator był ustawiony na pięć – pełny przepływ. Jeśli obróci się koło z powrotem na jeden, to YM-400, który wytwarzał przepływ, przestanie działać. Czy to jasne?

Dowland skinął głową.

— Wystarczająco jasne.

— Kiedy to zrobimy — zauważył Trelawney — będziemy mogli zająć się nieco łatwiejszymi rzeczami.

— Z jakiej ilości tam korzystacie?

— Nie ma chyba powodu, dla którego miałbym ci to mówić, prawda? Ale, powiem. Całe sześćdziesiąt osiem kilogramów, nad którymi tak płacze Najwyższy Rząd, znajduje się pod platformą maszyny. Wykorzystujemy je w pełni. — Uśmiechnął się lekko, być może na widok wyrazu twarzy Dowlanda. — Ten rodzaj zadania, które zamierzaliśmy zrealizować, wymagał ilości tej klasy. A teraz co do ciebie. Nie jesteśmy mordercami. Jill powiedziała mi, że nie da się ciebie przekupić – w porządku. A więc, zrobimy to tak, że kiedy ta sprawa zostanie załatwiona, będziesz miał atak amnezji. Kilka miesięcy życia zostanie na trwałe usuniętych z twojej pamięci, w tym oczywiście wszystko, co jest związane z tą operacją. Poza tym, absolutnie nic ci się nie stanie. Zrozumiano?

— Słyszałem o takich rzeczach — odparł sucho Dowland.

Ale wcale nie mają zamiaru, w taki sposób rozwiązać tej sprawy. Takie rzeczy, mówi się człowiekowi, który jest już w zasadzie martwy, aby powstrzymać go od podjęcia desperackiej próby ratowania życia. Posiadacze nie mieli specjalnie wyboru. Coś pokrzyżowało ich plany i jeśli teraz Dowland by zniknął lub znaleziono by go cierpiącego na nagłą amnezję, IPA natychmiast zwróciłaby całą swoją uwagę na Terrę. Gdyby zginął, jego śmierć można by upozorować na wypadek lub zabójstwo z jakichś pobudek osobistych. Ci ludzie byli w stanie poświęcić jednego z członków swej grupy, aby podtrzymać taką historię. I to by mogło przejść. Terra nie była bardziej podejrzana niż jakakolwiek inna planeta. Dowland wykonywał czysto rutynowe zadanie.

Podjęto parę krótkich przygotowań. Paul Trelawney sprawdził baterie w skafandrach antyradiacyjnych, które miał na sobie on i Jill, a następnie wymienił swoje na zestaw z zapasowego skafandra. Dowland na razie wyłączył własne pole AR. Było ono co najmniej tak samo odpowiednie, jak

to tworzone przez skafandry Trelawneyów, a pod pewnymi względami znacznie praktyczniejsze. Ale baterie skafandrów miały efektywny czas życia długości dwudziestu czterech godzin i działały automatycznie, kiedy tylko skafandry były noszone. Jego pole mogło być utrzymywane przez co najmniej półtorej godziny, a maksymalnie przez dwie godziny. W obecnej sytuacji Dowland nie był pewien, jak długo będzie musiał polegać na funkcjonowaniu pola. Kilka dodatkowych minut zapewnianej przez nie ochrony, mogło czasami wiele zmienić.

Zobaczył, że Trelawney ogląda leżący na podłodze sprzęt alpinistyczny, po czym podnosi uprząż i podaje ją mu.

— Masz, załóż ją — powiedział.

— Po co? — zapytał zaskoczony Dowland.

Trelawney uśmiechnął się szeroko.

— Może nam się przydać. Dowiesz się za chwilę lub dwie.

Wyszli z domu tylnym wejściem. W tej chwili chmury wisiały nisko na wschodnim horyzoncie; pierwsze promienie słońca lśniły pod nimi bladym złotem. Na zachodzie niebo było brązowe od kłębiącego się pyłu. Jill zatrzymała się dwadzieścia metrów od budynku laboratorium i stanęła na płaskowyżu, z karabinem w ręku, obserwując, jak mężczyźni idą dalej. Przy drzwiach Dowland włączył swoje pole AR. Trelawney rzucił mu klucz w kształcie dysku.

— Wiesz, jak go używać?

Dowland skinął głową.

— W porządku. Kiedy włożysz go w zamek i ponownie wyjmiesz, rzuć go do mnie. To może być ostatni egzemplarz tutaj, i tym razem nie zabierzemy go ze sobą do laboratorium. Kiedy drzwi zaczną się przesuwać w dół, cofnij się na prawo od nich. Zobaczymy, jak wygląda laboratorium, zanim wejdziemy do środka. — Trelawney wskazał na przyrząd wielkości naparstka znajdujący się na jego skafandrze. — To pokaże, czy w tym miejscu jest teraz gorąco i w przybliżeniu jak bardzo. — Pomachał pistoletem IPA w stronę Dowlanda. — No dobrze, do dzieła.

Dowland włożył klucz w środkowe wgłębienie w drzwiach, nacisnął, poczuł, że klucz zatrzasnął się we właściwym miejscu, wykonując ostry ruch obrotowy, zwolnił nacisk na klucz. Chwilę później klucz wyskoczył mu z powrotem do ręki. Rzucił go Trelawneyowi, który złapał go lewą ręką i przerzucił nad głową w kierunku Jill. Dysk upadł z ciężkim głuchym odgłosem na trawę, dziesięć stóp od niej. Dziewczyna podeszła do niego, podniosła go i wsunęła do jednej z kieszeni skafandra.

Metastalowa płyta, z której zbudowane były drzwi do laboratorium, zaczęła przesuwać się pionowo w dół. Ruch ustał, gdy jej górna krawędź znajdowała się jeszcze kilka centymetrów nad progiem.

Z małego przyrządu na skafandrze Trelawneya doleciało niskie buczenie. Wznosiło się i opadało nieregularnie, jak brzęczenie krążącej wokół nich osy. Towarzyszył mu odgłos, który mógł przypominać syk ulatniającej się pary. Potwierdzał to detektor Dowlanda. Laboratorium wręcz buchało promieniowaniem.

Zerknął na Trelawneya.

— Dosyć gorąco — stwierdził Posiadacz. — Ale wejdziemy do środka. Jednak przez chwilę zostań w pobliżu drzwi. Jest jeszcze coś, co chcę sprawdzić…

W środku, laboratorium obejmowało niepodzieloną na mniejsze pomieszczenia, w dużej mierze pustą, całą wielką przestrzeń budynku. Tylko część po lewej stronie od wejścia wydawała się być użytkowana. Ta część była oświetlona. Światło padało równomiernie z całej powierzchni wysokiej platformy maszynowej, stojącej w połowie odległości do przeciwległej ściany. Platforma była kwadratowa, każdy jej bok miał może około dwudziestu stóp. Dowland rozpoznał znajdującą się na niej aparaturę z diagramów Trelawneya. Centralnym jej elementem była jajowata obudowa, która wyglądała na wykonaną z metastali. W pobliżu tępego końca owalu, częściowo zasłoniętego, znajdowała się długa, wąska konsola z przyrządami. Za drugim końcem obudowy, ponad platformą, wystawała wysuwana rampa. Na końcu rampy znajdował się sześciostopowy dysk, który mógł być zrobiony z kwarcu, o obłej krawędzi, jaskrawo opalizujący. Był przechylony w lewo, w stronę zestawu instrumentów.

— Dowland, mamy tu dosyć kosztowne urządzenie — zauważył Trelawney. — Mój brat opracował jego koncepcję, niemalże w najdrobniejszych szczegółach, prawie dwadzieścia pięć lat temu. Ale trzeba było wiele czasu, przemyśleń i pracy, zanim koncepcja ta przekształciła się w funkcjonującą rzeczywiste maszynę, którą możesz podziwiać na tej platformie.

Kiwnął głową w lewo.

— Tam na podłodze leży płaszcz Miguela. Nie byłem pewien, czy nadal tu będzie. Klucz atomowy, którego tak pilnie szukałeś wczoraj wieczorem, znajduje się w jednej z jego kieszeni. Miguel stał właśnie tam, z płaszczem przewieszonym przez ramię, kiedy widziałem go po raz ostatni – może dwie lub trzy sekundy przed tym, jak ze zdziwieniem odkryłem, że sam nie patrzę już na ekrany przyrządów w naszym laboratorium.

— A gdzie byłeś? — zapytał Dowland. — Sześćset tysięcy lat w przeszłości?

— Przyrządy wskazywały właśnie namiar na ten punkt w czasie — odparł Trelawney. — Ale to była, jak rozumiesz, operacja wstępna. Zamierzaliśmy przeprowadzić szereg obserwacji. Nie planowaliśmy osobistego transferu jeszcze przez kilka tygodni. Ale na wypadek, gdyby test okazał się sukcesem przekraczającym nasze oczekiwania, byłem przygotowany na dokonanie transferu. Ta odrobina optymistycznej przezorności sprawiła, że wciąż jeszcze żyję.

Na co czekał ten człowiek? Dowland spytał:

— A co się właściwie stało?

— Dobre pytanie, sam chciałbym znać na nie pełną odpowiedź. Po części wydarzyło się to, że nagle znalazłem się w powietrzu, spadając w kierunku rzeki. Była noc i to pochmurna, ale wokół było wystarczająco

dużo światła, aby rozpoznać, że rzeka była naprawdę bardzo groźna… I teraz wydaje mi się — jego głos zawisł na chwilę w zamyśleniu — wydaje mi się, że rozumiem, dlaczego mój brat został znaleziony przed zamkniętymi drzwiami tego budynku. Popatrz tam, Dowland. Na co to według ciebie wygląda?

W pobliżu dalszego końca lewej części budynku, poza zasięgiem światła padającego ze stanowiska maszynowego, znajdowała się duża skrzynia, która została gwałtownie – i w dość dziwny sposób – rozerwana. Większa część skrzyni leżała przy ścianie, mniejszy jej fragment, około 20 stóp bliżej platformy maszyny. Z obu części wysypały się różne przedmioty, które były w nią zapakowane. Ale podłoga między tymi dwoma stosami rzeczy była pusta i zupełnie czysta. Gdyby nie to, można by pomyśleć, że skrzynia wybuchła.

— **T**o nie był wybuch — zgodził się Trelawney, gdy Dowland to powiedział. Zamilkł na chwilę, po czym zaczął mówić dalej: — Bezpośrednio w tym obszarze zostały niemal nałożone na siebie dwie ramy czasoprzestrzenne. W tej chwili trwają tam nieustanne zmagania naprężeń, w czasie których te dwie ramy starają się dopasować różnice pomiędzy nimi. Wokół naszej maszyny występuje sferyczna koncentracja tych naprężeń i zdarzają się chwile, w których przestrzeń jest dosłownie skręcana i rozrywana na części. Gdybyśmy zostali tam przyłapani w takiej chwili – ach!

Dowlandowi wydawało się, że w podłodze budynku, pomiędzy drzwiami a platformą maszyny, pojawiła się na krótko rysa w jaskrawym kolorze. Migotała, znikała, pojawiała się ponownie pod innym kątem, zanim jego uszy zdążyły w pełni zarejestrować fakt, że towarzyszyły jej dziwnie ucinające się wybuchy dźwięku. Jakby taniec piorunów. Ale to było…

Powietrze rozdarło się przed nim, zarysował się w nim jasny, trójwymiarowy obraz. Spoglądał w dół, na spienioną rzekę, na skraj zielono-żółtego lasu. Szum wody wypełniał budynek. Po lewej stronie widać było coś czarnego i masywnego... ale cała sceneria już zniknęła…

Przed nimi znów rozciągało się ciche i niezmienione wnętrze budynku laboratorium. Dowland powiedział głośno:

— Skąd wiedziałeś, co się stanie?

— Miałem możliwość spędzić kilka godzin, obserwując to — powiedział Trelawney — z drugiej strony. Myślę, że teraz rozumiesz, że musimy wykorzystać twój zestaw alpinistyczny w bardzo praktyczny sposób.

Dowland obrzucił wzrokiem budynek.

— Ściany…

— Metastal — odparł Trelawney — i dzięki Bogu, za to. Budynek jest solidny, naprężenia nie miały na niego wpływu. Będziemy mieli parę punktów zaczepienia. Przy ścianie, sześć stóp nad konsolą i w jednej linii z nią, drugi przy framudze drzwi, a potem będziemy mogli przeciągnąć linę.

Dowland popatrzył na to, odpiął uprząż, przełożył koniec liny magnetycznej przez ucho karabińczyka i mocno ją skręcił.

— Czy idziemy razem? — spytał.

Trelawney pokręcił głową.

— Idziesz sam, Dowland. Przepraszam za to, ale teraz nie czas na szlachetne gesty. Lina nie eliminuje niebezpieczeństwa. Ale jeśli nagle okaże się, że twoje stopy dyndają w powietrzu bardzo dawnych czasów, zostaniesz tutaj – mam nadzieję. Jeśli nie uda ci się przejść na drugą stronę, pójdę za tobą. Będziemy mieli dwie szanse, aby dezaktywować Ymir, zamiast jednej. W porządku?

— Ponieważ to ty masz broń w ręku, to tak — odpowiedział Dowland. — Gdybym ja ją miał, byłoby na odwrót.

— Oczywiście — zgodził się Trelawney. Patrzył bez słowa, jak Dowland wsuwa gwintowany karabińczyk do lufy pistoletu, blokuje go, celuje ponad platformą maszyny i strzela. Klamra karabińczyka uderzyła z trzaskiem w ścianę i przywarła do niej. Dowland szarpnął kilka razy luźnym końcem liny, powiedział:

— Umocowana.

Uciął linę i podał jej koniec Trelawneyowi.

Posiadacz wyciągnął do góry rękę, by oprzeć drugi karabińczyk o framugę drzwi, przełożył przez niego końcówkę liny i mocno ją skręcił. Dowland wysunął z uprzęży zestaw rękawic chwytnych, założył jedną na prawą rękę, a drugą podał Trelawneyowi.

— Na wypadek, gdybyś — powiedział — musiał iść za mną. Lina magnetyczna może pokaleczyć gołe ręce.

Trelawney spojrzał na niego krótko, zdziwiony, po czym uśmiechnął się.

— Dzięki — odparł. — Dasz radę zrobić to w jednej rękawicy?

— Bez wysiłku, na taką odległość.

— Szkoda, że nie jesteś Terraninem, Dowland. Przydałbyś się nam.

— Ja tam jestem zadowolony — stwierdził Dowland. — Czy jest sens przeczekać teraz kolejne pęknięcia w przestrzeni, zanim wyruszymy w drogę?

Trelawney pokręcił głową.

— Obawiam się, że nie ma żadnego. Z tego, co widziałem, w tych naprężeniach nie ma więcej regularności niż w przypadku rwących fal. Zobacz, jak lina szarpie się teraz – powiedziałbym, że zostaniesz nieźle wytargany, nawet jeśli po drodze nie natrafisz na otwarte szczeliny.

Dowland był piętnaście stóp od drzwi, na wpół biegnąc, obiema rękoma trzymając się liny, kiedy coś go pochwyciło. Zaczął wyginać się niezręcznie na boki, jego stopy prawie oderwały się od podłogi. Nagle puściło go, potykając się poleciał kilka kroków do przodu, zanim kolejny niewidzialny prąd szarpnął nim, ciągnąc go teraz w dół. Było to znacznie silniejsze pociągnięcie, które narastało jeszcze niemalże przez nieskończoną liczbę sekund. Wydawało mu się, że ramiona zaraz mu się wyłamią, kiedy nagle znowu się wyrwał.

Reszta drogi na platformę przebiegła już prawie bez zakłóceń, ale Dowland drżał z napięcia, zanim tam dotarł; czuł wręcz, jak pole AR utrudnia mu nabranie oddechu. Stopnie prowadzące na platformę znajdowały się o kilkanaście stóp na prawo od niego – za daleko od liny. Dowland zawisł całym ciężarem ciała na linie, rozkołysał się do przodu i w górę, puścił linę i zeskoczył na wąski chodnik między tablicą przyrządów i częścią przeznaczoną dla maszyny. Tablice świeciły własnym oświetleniem; na dalszym końcu zobaczył koło sterowania przepływem, wskazane mu wcześniej przez Trelawneya, z czerwonym wskaźnikiem ustawionym na cyfrze „5". Dowland zrobił dwa kroki w jego kierunku, chwycił koło i obrócił je w dół.

Wskaźnik zatrzymał się na cyfrze „1". Usłyszał jak kliknął wskakując na tę pozycję.

Natychmiast coś targnęło nim na boki, uderzył o konsolę, ześlizgując się po niej, i przeleciał przez niską barierkę na końcu platformy. Podłoga jakby drżała, gdy o nią uderzył, a potem powoli się przechyliła. Dowland przetoczył się, pozbierał się na czworaka, odwrócony plecami do platformy. W budynku za nim, znowu rozbłysło dzienne światło, a ryk rzeki, która przetaczała się tędy w innym czasie, wypełnił mu uszy. Zerwał się na nogi, rzucił się z powrotem w kierunku smagającej nad platformą liny. Światło i ryk ucichły, gdy chwycił linę, rozbłysły dalej za nim w budynku i znów się urwały. Gdzieś ktoś krzyknął…

Dowland przekręcił się na linie, ruszył przeciągając się po niej na rękach, z powrotem w stronę drzwi. Stopy niemal bez przerwy trzepotały mu w powietrzu, nie mogąc znaleźć oparcia na podłodze, dłużej niż przez chwilę. Z trudem udawało mu się łapać do płuc wystarczającą ilość powietrza przez pole antyradiacyjne. Zobaczył, jak chmura kurzu przesuwa się od strony otwartych drzwi, zupełnie je zasłaniając. Budynek trząsł się z wściekłością, jakby targany przez trzęsienie ziemi. A gdzie był Trelawney?

Zobaczył wtedy coś czerwonego, mokrego, leżącego pod ścianą tuż za drzwiami; i ogarnęły go mdłości, bo ciało Trelawneya było zbyt mocno rozciągnięte, by dało się rozpoznać, że kiedykolwiek mogło ono należeć do człowieka. Gdy dotarł do drzwi do środka buchnęła przez nie kolejna chmura pyłu i opadła, pozostawiając duszącą resztkę uwięzioną wewnątrz ekranu radiacyjnego. Gdyby tylko mógł wyłączyć pole…

Jego broń leżała zbyt blisko zaschniętego bałaganu wzdłuż ściany. Dowland podniósł ją jednak, a potem schylił się, aby zabrać z podłogi uprząż wspinaczkową, gdy za jego plecami ponownie rozbłysło światło. Automatycznie obejrzał się za siebie.

Po raz kolejny wnętrze budynku jakby się rozszczepiło. Tym razem na większą szerokość. W dole widział rwący, spieniony nurt. Po prawej stronie, ponad rosnącym na brzegu rzeki lasem, słońce wyglądało jak nabrzmiała, czerwona kula, prześwitująca przez warstwy mgły. Zaś z lewej strony, przesuwając się powoli nad rzeką w blasku odradzającego

się światła dnia, pojawił się trudny do pomylenia, niewiarygodny w tej sytuacji obiekt. Jednak widząc go przez jedną krótką chwilę, zanim cała ta sceneria zadrżała i znowu zniknęła, Dowland nagle pomyślał, że wie już, co się tutaj dzieje.

Ponieważ obiekt, który zobaczył, był statkiem kosmicznym.

Odwrócił się, wyszedł pośpiesznie przez drzwi na gwiżdżący porywisty wiatr, zobaczył stojącą tam Jill Trelawney, z białą jak ściana twarzą, ogromnymi oczyma i przyłożonymi do ust dłońmi.

Złapał ją za ramię.

— Chodź! Musimy się stąd wydostać.

Z trudem wysapała:

— To… rozerwało go na strzępy!

— Nie możemy mu już pomóc.

Nad tyłem płaskowyżu wirowały chmury pyłu, zasłaniając górną jego część. Dowland zerknął na zachód, dostrzegł kątem oka potężną górę ciemności, która wyciągała się w ich stronę na niebie. Rzucił się pod górę mesa, ciągnąc ją za sobą. Jill wykrzyknęła coś raz niespójnie dławiącym się głosem, ale on nie zatrzymał się, aby usłyszeć co chciała powiedzieć.

Wepchnął ją do domu, zatrzasnął za nimi drzwi, popędził ją dalej korytarzem i do salonu. Gdy weszli do środka, wyłączył swoje pole AR i poczuł, że powietrze znów swobodnie wypełnia mu płuca. Czuł się jakby wypłynął na powierzchnię gdzieś z głębi wody. Detektor nadal wydawał z siebie ostrzegawcze syczenie, ale było ono już znacznie cichsze, niemal niesłyszalne. Musieli teraz podjąć ryzyko wystawienia się na promieniowanie.

— Wyłaź ze skafandra, szybko! Cokolwiek dzieje się w laboratorium, tu na zewnątrz wywołało to burzę pyłową. Kiedy burza w nas uderzy, to na zewnątrz pole antyradiacyjne udusi cię w ciągu minuty.

Wpatrywała się w niego tępym spojrzeniem.

— Wychodź z tego skafandra! — krzyknął Dowland, nerwy mu lekko puściły. — Schodzimy po wschodniej ścianie. To nasza jedyna szansa. Ale nie dostaniemy się na dół żywi, jeśli nie będziemy mogli oddychać… — Wtedy zaczęła pośpiesznie rozpinać skafander drżącymi palcami, on odwrócił się do stosu sprzętu polowego obok kominka i zaczął go przeszukiwać.

Znalazł komunikator i właśnie przypinał go do uprzęży alpinistycznej, kiedy usłyszał trzask drzwi wejściowych. Odwrócił się, zaskoczony. Skafander radiacyjny Jill leżał na podłodze koło wejścia do domu. Ona sama zniknęła.

Trzy sekundy później sam znalazł się także za drzwiami, krzyknął i zobaczył ją w pyle czterdzieści stóp dalej, biegnącą w stronę lasu.

Może nie zdołałby jej złapać, gdyby się nie potknęła i nie przewróciła się jak długa. Dowland dopadł jej, zanim zdążyła się podnieść. Walczyła z nim w dzikiej ciszy jak zwierzę, drapiąc i gryząc, z oczami nabiegniętymi krwią. Była w niej jakaś mechaniczna furia, która go przeraziła. W końcu jednak uwolnił prawą rękę i uderzył ją pięścią w szczękę. Głowa Jill poleciała do tyłu, a oczy jej się zamknęły.

Kilka minut później dowlekł się z nią na wschodnią stronę mesa. Tutaj, poza terenem rancza, ziemia była niemal gołą skałą, z rzadkimi skupiskami uschniętych krzewów. Pył stał się oślepiający gęsty, choć główna część burzy znajdowała się jeszcze o wiele mil stąd. Nie było czasu, aby zatrzymać się w domu i poszukać pistoletu do haków, ponieważ lepiej było podjąć próbę zejścia z oszołomioną i na wpół sparaliżowaną młodą kobietą, niż z szalejącą wariatką, w jaką Jill może się zmienić, gdy dojdzie do siebie po jego ciosie. W ostateczności będzie musiał ją związać. Pod stopami bez przerwy słychać było odgłosy zgrzytania i szurania, a ziemia ciągle się trzęsła. W niektórych chwilach miał wrażenie, że brnie przez coś sypkiego, jak ruchome piaski. Wmawiał sobie, że to tylko wrażenie; że skała jest wystarczająco twarda. Ale…

Nagle znalazł się na skraju mesa. Dowland położył dziewczynę na ziemi, wyprostował się, dysząc, aby przetrzeć załzawione oczy. Płaskowyż za nimi prawie zniknął w kłębiącym pyle.

Przez ten pył Dowland dostrzegł coś, co zbliżało się przez otwartą przestrzeń, którą właśnie pokonał.

Wpatrywał się w to z otwartymi ustami, oszołomiony poczuciem niesprawiedliwości. Gigantyczny kształt wciąż jeszcze był tylko częściowo widoczny, ale było oczywiste, że podąża za nimi. Poruszał się szybko po trzęsącej się ziemi. Dowland wyciągnął broń, z dziwnie spokojnym przekonaniem, że będzie ona zupełnie bezużyteczna wobec ich prześladowcy. Ale uniósł ją powoli i wycelował, mrużąc oczy przez kurz.

I wtedy to się stało. Ich prześladowca jakby się zawahał. Poruszył się ponownie w jakiś dziwny sposób, coś grzmotnęło w ziemię obok Dowlanda. Następnie, wijąc się i skręcając – najpierw powoli, potem stopniowo coraz szybciej – przesłonięty pyłem kształt zdawał się zapadać pod ziemię, przez skalistą powierzchnię mesa.

W następnej chwili zniknął już całkowicie.

Minęło kilka sekund, zanim Dowland stopniowo ponownie opuścił broń. W oszołomieniu uświadomił sobie, że coś jeszcze obecnie się zmieniło. Cichutki ludzki głos wydawał się irytująco bełkotać do niego z jakiegoś miejsca, które znajdowało się gdzieś bardzo blisko. Jego wzrok padł na mały komunikator przyczepiony do jego uprzęży.

Głos dochodził właśnie stamtąd.

Sieć energetyczna Terry powróciła na Lion Mesa.

Tydzień później porucznik Frank Dowland został wprowadzony do biura komendanta Solar Police Authority. Szef przedstawił go dwóm innym ludziom, którzy nie podali swoich nazwisk, i poprosił aby usiadł.

— Panie poruczniku — oznajmił — ci panowie mają kilka pytań do pana. Może pan rozmawiać z nimi równie otwarcie, jak ze mną.

Dowland skinął głową. Od razu rozpoznał jednego z obecnych dżentelmenów – Howarda Camhorna, koordynatora ds. badań naukowych, podobno jeden z najbystrzejszych umysłów na najwyższych szczeblach

władzy Najwyższego Rządu. Drugiego z nich nie znał. Był kilka lat młodszy od Camhorna, około sześciu cali niższy, gruby, miał czarne włosy, brązowe oczy, i wyraz sowiego zamyślenia na twarzy. Prawdopodobnie, pomyślał Dowland, nosi szkła kontaktowe.

— Tak jest, panie komendancie — powiedział do szefa i odwrócił się z powrotem w stronę gości.

— Widzieliśmy pański raport z ostatniej wizyty na Terrze, poruczniku Dowland — zaczął uprzejmie Camhorn. — Nawiasem mówiąc, jest to doskonały raport – rzeczowy i szczegółowy. Chcielibyśmy teraz usłyszeć o tym, co zupełnie słusznie pan w nim pominął. To znaczy, o pańskich osobistych wrażeniach i wnioskach.

— Na przykład — podjął drugi z mężczyzn, kiedy Dowland się zawahał, — panna Trelawney poinformowała nas, że jej wujowie próbowali wykorzystać pozyskane przez siebie YM-400, do przeniesienia się w czasie, we wcześniejszy okres na Ziemi, a dokładniej do okresu znanego jako plejstocen. Czy z tego, co pan widział, wynika, że im się to udało?

— Nie wiem, proszę pana — odparł Dowland. — W ciągu ostatnich kilku dni pokazano mi szereg zdjęć przedstawiających ten okres. Sceneria, którą opisałem w raporcie, prawdopodobnie mogłaby istnieć w tamtym czasie. — Uśmiechnął się przelotnie. — Jednakże mam wrażenie, że bardzo duże latające stworzenie, o spotkaniu z którym tamtej nocy meldowałem, jest uważane za… no cóż, eee… ach…

— Wytwór podekscytowanych nerwów? — wszedł mu w słowo niski mężczyzna, kiwając głową. — W tak niezwykłych okolicznościach byłoby to całkiem możliwe, wie pan o tym.

— Tak jest, proszę pana, wiem.

Niski mężczyzna uśmiechnął się.

— Ale nie sądzi pan, że tak było?

— Nie, proszę pana — odpowiedział Dowland. — Myślę, że opisałem dokładnie to, co słyszałem i widziałem.

— I uważa pan, że Trelawneyowie nawiązali kontakt z jakimś wcześniejszym okresem Ziemi – niekoniecznie z plejstocenem?

— Tak, tak uważam.

— I twierdzi pan, że widział pan, w tym prehistorycznym okresie, statek kosmiczny…

Dowland pokręcił przecząco głową.

— Nie, proszę pana. W chwili gdy go obserwowałem, myślałem że tak właśnie jest. Zameldowałem, że widziałem coś, co wyglądało jak statek kosmiczny.

— Jak pan myśli, co to było?

— Statek czasowy – jeśli takie określenie w ogóle istnieje.

— Istnieje takie określenie — przerwał mu leniwie Camhorn. — Jestem ciekaw, panie poruczniku, co pana skłoniło do takiego wniosku.

— To tylko przypuszczenie, proszę pana. Ale to wszystko musi jakoś do siebie pasować. Statek czasowy sprawia, że pasować będzie.

— A w jaki sposób?

— Poinformowano mnie — wyjaśnił Dowland, — że naukowcy Najwyższego Rządu nie byli w stanie zrobić praktycznego użytku z YM,

ponieważ zawsze coś szło nie tak, kiedy próbowali je wykorzystywać. Słyszałem też, że nie ma sposobu aby z góry przewidzieć, co się stanie gdy eksperyment się nie powiedzie. Ale zawsze coś się działo, i często ginęło wielu ludzi.

Camhorn potwierdził.

— To prawda.

— No cóż, w takim razie — oznajmił Dowland, — uważam, że istnieje pewna rasa istot, które żyją nie całkiem w naszym czasie i przestrzeni. Mają YM, używają go i nie chcą, aby ktokolwiek inny z niego korzystał. Potrafią rozpoznać, kiedy jest ono u nas aktywowane, i używają swojego YM, aby zakłócić jego działanie. Dlatego nasze kolejne eksperymenty, nagle kończą się porażką.

— Nie wiedzą jednak jeszcze, kto go używa. Kiedy Trelawneyowie włączyli swoją maszynę, istoty te zauważyły wzorzec napięcia w czasie, wywoływany przez YM. Udały się do tego punktu i wzmocniły efekt wymieszania się czasów za pomocą własnego YM. Podczas tego pierwszego testu Trelawneyowie nie zamierzali nawiązywać pełnego kontaktu. Obcym niemalże udało się całkowicie połączyć te dwa czasy na obszarze znajdującym się w pobliżu laboratorium.

— W jakim celu? — spytał Camhorn.

— Myślę, że bardzo im zależy na tym, aby nas zlokalizować.

— Z nieprzyjaznymi zamiarami?

— Ci, na których wpadliśmy, nie zachowywali się przyjaźnie. Czy mogę zadać pytanie, proszę pana?

— Oczywiście — odpowiedział Camhorn.

— Czy kiedy badano maszynę Trelawneyów, zasilanie w YM było odpowiednio zabezpieczone?

— Całkiem dobrze — odpowiedział Camhorn.

— Ale kiedy otworzyłem drzwi, laboratorium było gorące. A Miguel Trelawney zmarł na skutek poparzeń popromiennych…

Camhorn przytaknął.

— To są fakty, które nadają pańskiej teorii pewien rzeczywisty wydźwięk, panie poruczniku. Nie ma co do tego wątpliwości. Istnieje jeszcze jeden fakt: po wyłączeniu przepływu YM, w laboratorium minęło prawie dziesięć minut, zanim widoczny kontakt między dwoma okresami czasu został przerwany. Z pańskiego raportu wynika, że opisane przez pana zjawiska nasiliły się bezpośrednio po odcięciu przepływu.

— Tak jest, proszę pana.

— Jakby Obcy próbowali dołożyć wszelkich starań, aby utrzymać kontakt z naszym czasem?

— Tak, proszę pana — odparł Dowland. — Takie odniosłem wrażenie.

— To całkiem prawdopodobne. Wszystko wskazuje na to, że Paul Trelawney rzeczywiście spędził sporo czasu – być może od dwunastu do czternastu godzin – w tamtym okresie. Nie powiedział panu nic, o tym co przeżył w ciągu tych godzin?

— Nie, proszę pana, poza stwierdzeniem, że była noc, kiedy się tam znalazł. Być może pannie Trelawney powiedział coś więcej.

— Najwyraźniej, tego nie zrobił — stwierdził Camhorn. — Zanim weszliście razem do laboratorium, ostrzegł ją, aby uważała na zbliżające się stworzenie, które odpowiada opisowi dwukrotnie przez was napotkanych gigantycznych stworów. Ale to wszystko. No dobrze, przedstawił nam pan swoje obiektywne obserwacje. Co może pan do nich dodać – być może, coś na bardziej spekulatywnej bazie?

— No cóż, proszę pana — odparł Dowland, — wszystkie moje opinie na ten temat w gruncie są rzeczy wysoce spekulatywne. Uważam jednak, że Paul Trelawney został schwytany przez obcych zaraz po tym, jak pojawił się w tamtym przedziale czasowym, a kilka godzin później udało mu się od nich uciec. Dwóch z nich, którzy próbowali go schwytać, w końcu podążyło za nim na Lion Mesa przez kolejny otwór, wytworzony pomiędzy tymi okresami czasu przez działanie YM, w niezbyt dużej odległości od pierwszego.

Postawny towarzysz Camhorna zapytał zamyślony:

— Uważa pan, że to podobne do ptaka stworzenie, które pan widział, przybyło tą samą drogą?

— Tak jest, proszę pana — odpowiedział Dowland, zwracając się do niego. — Myślę, że to akurat był po prostu przypadek. Mogło to być jakieś dzikie zwierzę, które zbłądziło na teren kontaktu i znalazło się u nas, nie wiedząc, co się stało.

— I uważa pan — kontynuował ten drugi człowiek, — że sam pan przechodził w nocy w pobliżu tego punktu kontaktu w czasie, wtedy gdy wydawało się panu, że czuje pan zapach bagna?

Dowland skinął głową.

— Tak jest, proszę pana, tak uważam. Te zapachy mogły być złudzeniem, ale wydawały się bardzo wyraźne. A oczywiście na samym płaskowyżu nie ma żadnych bagien.

Camhorn oznajmił:

— Przyjmiemy, że to nie było złudzenie. Wydaje się to pasować do ogólnego obrazu. Ale, panie poruczniku, na czym opiera pan swoją opinię, że Paul Trelawney był przez jakiś czas więźniem tych istot?

— Chodzi tu o kilka rzeczy, proszę pana — wyjaśnił Dowland. — Jedną z nich jest informacja, że kiedy panna Trelawney odzyskała przytomność w szpitalu, nie pamiętała, aby próbowała ode mnie uciekać.

Camhorn skinął głową.

— Tak nam przekazano.

— Podjęła taką próbę — kontynuował Dowland, — zaraz po tym, jak zdjęła skafander radiacyjny, aby uniknąć uduszenia się w burzy pyłowej, w drodze na dół z płaskowyżu. To jest pierwsza rzecz.

— Proszę dalej — powiedział Camhorn.

— Kolejną jest fakt, że kiedy wczesnym rankiem odnalazłem Paula Trelawneya, miał on na sobie skafander radiacyjny. Sądząc po jego wyglądzie, przebywał w nim od wielu godzin – a skafander radiacyjny, oczywiście, jest bardzo niewygodnym ubiorem, gdy wędruje się w trudnym terenie.

— Mógł przecież — zasugerował postawny mężczyzna — bać się, że wejdzie na radioaktywny teren.

Dowland pokręcił przecząco głową.
— Nie, sir. Miał przyrząd, który ostrzegłby go, gdyby zbliżał się do takiego miejsca. O wiele bardziej sensowne byłoby noszenie skafandra złożonego i ponowne nakładanie go na siebie, w razie potrzeby. Wtedy nie zastanawiałem się nad tym zbytnio. Ale potem wydarzyła się jeszcze trzecia rzecz. Nie umieściłem tego w raporcie, ponieważ było to moje kompletnie subiektywne wrażenie. Nie byłbym w stanie teraz udowodnić, że to się rzeczywiście wydarzyło.
Camhorn pochylił się do przodu.
— Proszę mówić dalej.
— Było to tuż przed ostatecznym rozdzieleniem się okresów czasu – stworzenie, które zbliżało się do panny Trelawney i do mnie, wydawało się spadać przez szczyt mesa – przypuszczam, że spadło z powrotem do innego okresu. Opisałem je. Był to pięćdziesięciometrowy szary ślimak, który poruszał się na ogonie i miał dwa rzędy jakby krótkich ramion. Absolutnie nie było to przyjemne stworzenie. Wystraszyłem się na śmierć. Ale trzymałem w ręku pistolet – ten sam, którym powstrzymałem innego z tych stworów, gdy gonił mnie w nocy. Problem polegał na tym, że tym razem nie zamierzałem strzelać.
— Nie zamierzał pan strzelać? — powtórzył Camhorn pytającym tonem.
— Nie, proszę pana. Miałem wszelkie powody, aby spróbować rozwalić go na kawałki, kiedy tylko go zobaczyłem. Tamten w nocy nie kontynuował swojego ataku mnie, więc prawdopodobnie został ciężko ranny. Wiedziałem o tym, ale byłem też po prostu przekonany, że pociągnięcie za spust będzie bezcelowe. Tak najlepiej mogę wyjaśnić, co się stało…
— Myślę, że ci obcy potrafią kontrolować umysły innych istot, ale nie są w stanie tego robić poprzez zakłócenia wywołane przez coś takiego jak nasze pola AR. Paul Trelawney pojawił się w innym przedziale czasowym wpadając im prosto w łapy. Miał przewieszony przez plecy karabin, ale przypuszczalnie złapali go, zanim zdążył go użyć. Zbadali jego samego i sprzęt, który miał przy sobie, a kiedy zdjęli mu skafander radiacyjny, odkryli, że należy on do rasy, którą mogą kontrolować mentalnie. Po tym fakcie nie było powodów, aby go zbyt dokładnie pilnować. Był bezradny.
Myślę, że Trelawney zdawał sobie z tego sprawę i wykorzystał moment, w którym jego działania nie były kontrolowane, na to by wślizgnąć się z powrotem do skafandra. Wtedy znów mógł działać. Kiedy odkryto, że uciekł, niektórzy z nich zostali wyznaczeni do poszukiwania go, a dwaj z tych prześladowców pojawili się tutaj, na mesie, w naszych czasach.
— Jeśli chodzi o pannę Trelawney, to oczywiście nie próbowała mi uciekać. Najwyraźniej nie była nawet świadoma tego, co robi. Po prostu fizycznie wykonywała polecenia, które jej umysł zaczął otrzymywać, gdy tylko wyszła z kombinezonu radiacyjnego. Sądząc po kierunku, w którym się udała, miała dostać się do tego stworzenia, gdziekolwiek by się ono w tej chwili znajdowało – gdzieś na północ od terenu rancza.

Przez kilka sekund panowała cisza. Potem towarzysz Camhorna zauważył:

— Jest jedna rzecz, która nie do końca pasuje do pańskiej teorii, panie poruczniku.

— Co to takiego, proszą pana?

— Z pańskiego raportu wynika, że wyłączył pan swoje pole AR w tym samym momencie, w którym poradził pan pannie Trelawney, aby wyszła ze swojego skafandra. Powinien pan być w równym stopniu podatny na mentalne instrukcje obcego.

— No cóż — powiedział Dowland, — mogę spróbować to wyjaśnić, proszę pana, choć znowu nie ma sposobu, abym mógł udowodnić swoje twierdzenia. Jednak może być tak, że te istoty mogą kontrolować tylko jeden umysł na raz. Obcy mógł się nie zorientować, że... hmmm... pozbawiłem pannę Trelawney przytomności i że nie jest ona w stanie wykonywać jego poleceń, dopóki nie pojawił się na miejscu i nie zobaczył nas bezpośrednio. Przypuszczam, że dopiero wtedy skierował swój mentalny atak na mnie.

Postawny człowiek – nazywał się Laillard White i był jednym z najlepszych specjalistów od rozwiązywania problemów w dziedzinach mniej lub bardziej związanych z psychologią – wyglądał na zamyślonego, gdy wraz z Camhornem opuszczał siedzibę Solar Police Authority i kierował się w stronę sąsiedniego biura Najwyższego Rządu.

— Z twojego wyrazu twarzy wnioskuję — zauważył Camhorn — że nasz porucznik mówił prawdę.

White chrząknął.

— Oczywiście, że tak – tak jak on to widział.

— I jest zdrowy na umyśle?

— Zupełnie zdrowy — zgodził się z roztargnieniem White.

Camhorn uśmiechnął się.

— Więc o co chodzi, Lolly? Nie podoba ci się pomysł podróży w czasie?

— Oczywiście, że nie. To absurd.

— Jesteś tępy, Lolly. I pochopny w osądach. Wiele wielkich umysłów nie zgadza się z tobą w tej kwestii.

Laillard White wygłosił niezbyt pochlebną opinię o wielkich umysłach, generalnie. Kontynuował:

— Czy maszyna, którą zbudowali Trelawneyowie, została znaleziona w nienaruszonym stanie?

Camhorn skinął głową.

— W doskonałym stanie. Miałem okazję ją obejrzeć, kiedy przywieziono ją oraz inne maszyny ukryte przez Posiadaczy na Terrze.

— I te maszyny zostały zbudowane tak, aby umożliwić przenoszenie się w czasie?

— Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Działają one w przestrzeni Riemanna i są bardzo solidnie pomyślane. Prawdę mówiąc, są to dzieła godne najwyższego uznania. Szkoda tylko, że bracia Trelawneyowie

zmarnowali się na to. Moglibyśmy lepiej wykorzystać ich talenty. Chociaż, jak się okazało... — Wzruszył ramionami.

White zerknął na niego.

— O czym ty mówisz? — zapytał podejrzliwie.

— Nie udało im się dokonać podróży w czasie — wyjaśnił Camhorn — choć teoretycznie powinni to zrobić. Wiem o tym, ponieważ mamy już kilka maszyn opartych na tych samych zasadach. Najwcześniejsza została zbudowana prawie osiemdziesiąt lat temu. Dwie z nich są tworzone obecnie, tak by wykorzystywać ciąg YM. Maszyna Trelawneya jest znacznie bardziej zaawansowana w wielu szczegółach, niż jej odpowiedniki z Najwyższego Rządu, ale nadal nie umożliwia przenoszenia się w czasie.

— Dlaczego nie?

— Chciałbym to wiedzieć — stwierdził Camhorn. — Wygląda na to, że rzeczywistość, w której żyjemy, ma tak samo niechętny stosunek do podróży w czasie jak ty. Podróże w czasie nadal pozostają możliwością tylko teoretyczną. Ale w praktyce – gdy na przykład wykorzystywany jest do tego celu ciąg YM – ciąg ten jest odwracany.

White wyglądał na zdumionego.

— Ale skoro Paul Trelawney nie przenosił się w czasie, to co robił?

— A co pozostało? — zapytał Camhorn. — Oczywiście, że przeniósł się w przestrzeni.

— Gdzie?

Camhorn wzruszył ramionami.

— Przebili się przez przestrzeń Riemanna — powiedział — po tym, jak podłączyli swoją maszynę do energii dziewiętnaście tysięcy razy większej niż ta, którą dysponowaliśmy, zanim wpadły w nasze ręce pierwiastki z serii Ymir. Teoretycznie, Lolly, mogli dotrzeć w dowolne miejsce we wszechświecie. Gdybyśmy mieli na tyle nierozsądnej pychy, żeby bawić się wielokilogramowymi wolumenami YM – wiedząc, co się dzieje, gdy używa się ułamkowych ilości grama – moglibyśmy zrealizować bardzo podobne doświadczenia.

— Jak wiesz, nadal nie do końca zostałem poinformowany, na czym polegało to doświadczenie — zauważył Laillard White.

— Teoria porucznika Dowlanda wcale nie była pod tym względem odległa od rzeczywistości. Jak na ironię, mamy za co być wdzięczni Trelawneyom. Nie ma już prawie żadnych wątpliwości, że rasa istot, z którymi się zetknęli, była odpowiedzialna za kłopoty nękające nas w związku z użytkowaniem YM. Nie są najlepszymi sąsiadami – to znaczy, sąsiadami w sensie położenia w przestrzeni Riemanna. Gdyby wiedzieli, gdzie nas szukać, mogłoby zrobić się naprawdę gorąco. Mieli szansę wygrania pierwszej rundy, kiedy Trelawneyowie zapalili dla nich tę ważącą 68 kilogramów latarnię sygnałową. Ale popełnili parę błędów i znowu nas zgubili. Jak na razie mamy więc remis. Z tą różnicą, że teraz wiemy już o nich tyle, ile oni o nas. Spodziewam się, że za kilka lat z łatwością przejdziemy do drugiej rundy.

White nadal wyglądał na pełnego wątpliwości.

— Czy Trelawneyowie skontaktowali się z jedną z ich planet?

— O, nie. Przynajmniej byłby to bardzo mało prawdopodobny zbieg okoliczności. Nie, maszyna poszukiwała Terry, takiej jak wiadomo, że wyglądała ona w drugiej połowie okresu plejstocenu. Trelawneyowie określili około tysiąca bardzo konkretnych czynników, które miały ukierunkować i ograniczyć te poszukiwania. Ponieważ czas jest nieprzenikniony, a więc maszyna musiała odnaleźć ten szczególny układ czynników w przestrzeni i udało jej się tego dokonać. Obcy – zgodnie z teorią porucznika Dowlanda – przenieśli się przez przestrzeń Riemanna na planetę, na której tak gwałtownie manifestował się ciąg YM. Jednak kiedy już tam dotarli, nadal nie byli w stanie określić, gdzie we wszechświecie powstał ten ciąg – mimo że w pewnym sensie znajdowali się na wyciągnięcie ręki od Terry, a dwóch z nich przez pewien czas przebywało na jej powierzchni. Dla naszych przyjaciół musiało być to niezwykle frustrujące doświadczenie.

Laillard White stwierdził: "Hm-m" i zmarszczył brwi.

Camhorn roześmiał się.

— Odpuść sobie, Lolly — oznajmił. — To przecież nie jest twoja dziedzina. Zajmijmy się tym, co mamy. Co sądzisz o tym, że Dowland wydawał się być przez pewien czas odporny na polecenia umysłowe, które te stworzenia próbowały mu wydawać?

— Eh? — rzucił White. Jego wyraz twarzy zmienił się w zdziwienie. — Ależ to oczywiste!

— Cieszę się, że to słyszę — powiedział Camhorn.

— No cóż, to jest fakt. Postawa Dowlanda wskazywała wyraźnie, że sam podejrzewał prawdę w tej kwestii. Naturalnie, niechętnie ujmował to w słowa.

— Naturalnie. Co więc podejrzewał?

White pokręcił głową.

— To takie proste. Pierwszym żywym okazem człowieka, jaki napotkali kosmici, był Paul Trelawney. Wysoki poziom geniuszu, stary! Trzeba mieć taki poziom, żeby wprowadzić w błąd nasze testy IQ w sposób, w jaki zrobił to on i jego przyrodni brat. Kiedy te istoty zaczęły grasować na mesie, szukały właśnie takiego rodzaju umysłów. Dowland jest ponadprzeciętny, daleko mu do głupoty. Jak sam mówisz, podobają ci się jego teorie. Ale nie jest Trelawneyem. Bez wątpienia kosmici przy każdym spotkaniu uważali go za jakieś sprytne zwierzę domowe. Jedynym powodem, dla którego jeszcze żyje, jest to, że nie potraktowali go poważnie.

— To — stwierdził zamyślony Camhorn — może zmienić wiele rzeczy.

— Może, to prawda.

— Czy mamy pod ręką cokolwiek, co mogłoby zablokować ich specyficzne zdolności psi?

— Och, z całą pewnością. Jeśli pole AR może ich powstrzymać, to w tym względzie nie ma się czym przejmować. Nasi ludzcy telepaci nie byliby poważnie ograniczeni przez ten stopień zakłóceń.

— To doskonale — powiedział Camhorn. — Czy masz jakąś teorię na temat częściowej interpretacji sensorycznej istnienia dwóch obszarów, o

których donosili zarówno Dowland i panna Trelawney? Kwestia możliwości usłyszenia od czasu do czasu rzeki na drugiej planecie.

White skinął głową.

— Jest kilka możliwych wyjaśnień tej sytuacji. Po pierwsze…

— Lepiej zostawmy to sobie na lunch, Lolly — przerwał mu Camhorn, zerkając na zegarek. — Widzę, że zostały mi dwie minuty do następnego spotkania. Czy jest jeszcze coś, co twoim zdaniem powinniśmy w tej chwili omówić?

— Tylko jedna rzecz — powiedział White. — Jeśli maszyna Trelawneyów jest w stanie zlokalizować planetę typu Terry, w dowolnym miejscu we wszechświecie…

Camhorn przytaknął.

— Zgadza się, jest.

— W takim razie — zauważył White, — mamy rozwiązanie problemu eksplodującej populacji, czyż nie?

— Na chwilę bieżącą, tak — zgodził się z nim Camhorn. — Prawdę mówiąc, Lolly, właśnie tego dotyczy spotkanie, na które się wybieram.

— A więc terrańscy Posiadacze będą mogli przestać martwić się o naciski polityczne, które groziły przekształceniem Terry w kolejny higienicznie przeludniony świat slumsów.

— To prawda — odparł Camhorn. — Za kilka lat, jeśli wszystko pójdzie dobrze, każdy mężczyzna, kobieta i dziecko będą mogli zostać Posiadaczami – gdzieś tam.

— A więc, mimo wszystko Trelawneyowie dostali to, czego chcieli…

— W pewnym sensie tak właśnie się stało. Gdyby bracia wiedzieli o końcowym skutku całej tej sprawy, myślę, że byliby zadowoleni. Sytuacja została wyjaśniona ich siostrzenicy. Ona jest.

KONIEC